NOWOŚCI ILLUSTROWANE

Prenumerata wynosi:
Kwartalnie 4 kor. — 4 Mrk. — 1 Rsb. 80 kop. z przesyłką pocztową 2 Rsb. 60 kop. Półrocznie 8 kor. — 8 Mrk. 3 Rsb. 60 kop., z przesyłką pocztową 5 Rsb. 20 kop. Rocznie 16 kor. — 16 Mrk. — 7 Rsb. 20 kop., z przesyłką pocztową 10 Rbs. 40 kop.

Wychodzi każdej soboty

REDAKCYA I ADMINISTRACYA KRAKÓW, ZACISZE 7. Nr. TEL. 479.

Redaktor: STANISŁAW LIPIŃSKI.

Główny skład na Królestwo Polskie w Biurze G. Ungra, Warszawa, Aleje Jerozolimskie 78.
Prenumeratę przyjmują Biura UNGRA w Warszawie, Wierzbowa 8 i Aleje Jerozolimskie 78, oraz wszystkie księgarnie tak w Warszawie jak i na prowincyi

Numer pojedynczy kosztuje 32 halerzy — 15 kop. — 32 fen.

Rok VI. Kraków, 27 lutego 1909. Nr. 9.

Ujęcie niebezpiecznego bandyty.

(Treść na str. 2.)





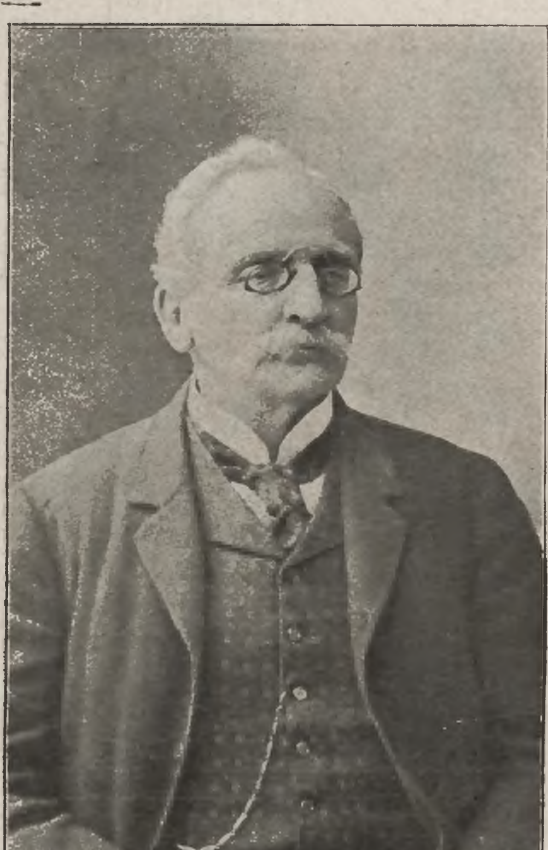
Zgon zasłużonego obywatela: Pogrzeb śp. Włodzimierza Gniewosza we Lwowie.

Ujęcie niebezpiecznego bandyty.

(Do illustracyi tytułowej).

Przed niedawnym czasem urządzono w Brukseli zamach na kupca niemieckiego Meiera, a sprawcy zbiegli. Policyi udało się stwierdzić, że głównym sprawcą był anarchista rosyjski, Włodzimierz Seiliger, który jednak zniknął nagle z widowni. Policyjne dochodzenia, które nie ustawały, zdawały się wskazywać, że Seiliger przebywa w Paryżu, stamtąd bowiem nadchodziły listy do jego kochanki. Tymczasem opryszek siedział sobie spokojnie w Gandawie, gdzie najął prywatne mieszkanie pod fałszywem nazwiskiem. Gospodarz, zauważywszy wielkie podobieństwo pomiędzy spokojnym lokatorem, a portretem Seiligera, pomieszczonym w dziennikach, nie omieszkał zwrócić na tę okoliczność uwagi policyi, która poczęła bardzo pilnie śledzić tajemniczego obcokrajowca i nabrała przekonania, że jest to właśnie poszukiwany bezskutecznie Seiliger. To też z początkiem ubiegłego tygodnia przybyła policya w nocy do mieszkania Seiligera. Anarchista, który przygotowany był widać na niespodziewaną wizytę, przyjął policyę strzałami rewolwerowymi, których dał sześć, a nie mogąc się inaczej obronić, zgasił lampę, aby w ciemności próbować ucieczki. Wywiązała się walka na śmierć i życie, wreszcie udało się policyi ubezwładnić niebezpiecznego zbrodniarza. Gdy go prowadzono po schodach, udało mu się jednak wymknąć z rąk policyi, ale żołnierze i przechodnie pochwycili go, gdy uciekał ulicą. W pokoju Seiligera przeprowadzono natychmiast dokładną rewizyę, która wydała nader dodatni dla policyi rezultat. Znaleziono nader rozgałęzioną korespondencyę anarchistyczną, prowadzoną z Francyą, Niemcami i Szwajcaryą, a kompromitującą bardzo wiele osób. Na podstawie uzyskanych wskazówek, zarządzono też wiele aresztowań, szczególniej w Paryżu. Pokazało się nadto, że oprócz anarchistycznej działalności, która miała stanowić tylko pokrywkę, Seiliger uprawiał na wielką skalę zupełnie ordynarny bandytyzm, nic też dziwnego, że bronił się tak zapamiętale, wiedząc, że aureola bohatera spadnie z jego głowy. Z rannych podczas walki policyantów, jeden umarł nazajutrz, ciężko ranny komisarz walczy ze śmiercią.

Illustracya nasza, sporządzona według nadesłanego nam szkicu, przedstawia chwilę, gdy policya usiłuje ubezwładnić niebezpiecznego bandytę.



Zgon zasłużonego obywatela: Śp. Włodzimierz z Oleksowa Gniewosz.

Zgon zasłużonego obywatela.

Co raz rzadziej spotyka się u nas typ polskiego szlachcica, który umiałby pogodzić stałość przekonań, jakie odziedziczył po przodkach, z nowoczesnemi pojęciami, wchodzącemi w krew całego narodu, tak dobrze mieszczaństwa, jak ludu lub szlachty. Także nieczęsto widujemy człowieka tej sfery, któryby, pomimo stosunków, łączących go z najwyższemi osobistościami, zachował własne zdanie i zdrowy sąd w sprawach politycznych, oraz niezależność osobistą.

Takim właśnie dodatnim typem polskiego szla-



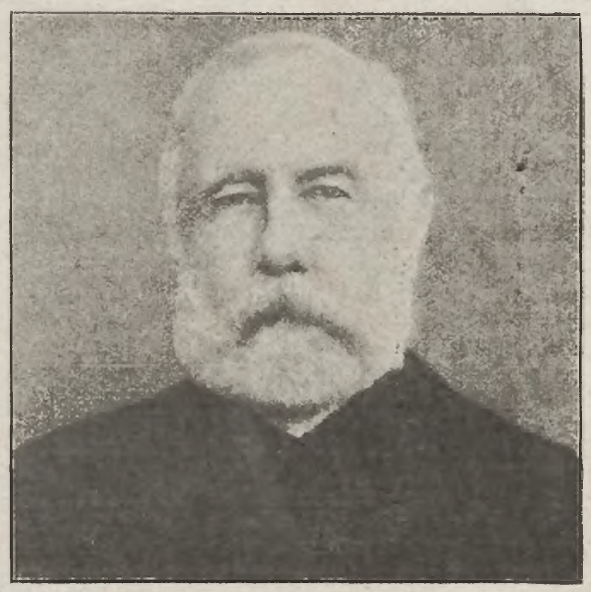
Transport wielbłądów: Przenosze..ie wielbłądów w angielskim porcie Barbera z okrętów na ląd stały.

chcica był zmarły przed kilku dniami Włodzimierz z Oleksowa Gniewosz, dzielny w młodości żołnierz, później wzorowy obywatel kraju, któremu długo służył, jako doskonały rolnik, jako współpracownik w rozmaitych urzędach autonomicznych i jako poseł do Sejmu i Rady państwa.

Urodzony w 1841 roku, ukończył Terezyanum, gdzie ucząc się był także paziem dworskim. Już wtedy poznał go cesarz Franciszek Józef i od tego czasu zachował dlań wiele osobistej sympatyi. Młodego Gniewosza pociągała ku sobie wojaczka. Wstąpił więc do wojska w 1858 r. i wkrótce potem odbył kampanię włosko-francusko-austryacką. Następnie bił się z Prusakami w 1866 roku.

Z wojska wystąpił Gniewosz w cztery lata później w randze rotmistrza i osiadł na roli w rodzinnym Potoku Złotym w powiecie buczackim, biorąc od tego czasu żywy udział w życiu publicznem. Pracował w Radzie powiatowej, był członkiem komisyi Centralnego Towarzystwa gospodarczego, długie lata delegatem Towarzystwa kredytowego, wiceprezesem krakowskiego Towarzystwa wzajemnych ubezpieczeń, posłem do Sejmu, posłem do Rady państwa od 1891 do 1907 roku i bardzo czynnym członkiem Unii międzyparlamentarnej. Z czasów posłowania w Wiedniu, słynnym był jego pojedynek, jaki miał z posłem Wolfem, o obrazę narodowości polskiej.

W chwili, gdy w wiedeńskiej Radzie państwa ważyły się losy ustawy o powszechnem głosowaniu, Gniewosz, obok posła Moysy, był jedynym z pośród konserwatystów, który, uznając prąd czasu, otwarcie i energicznie stanął w jej obronie. Nie darowali mu tego wystąpienia konserwatyści i do tego stopnia obrzydzili mu swymi intrygami życie publiczne, że już nie kandydował w czasie pierwszych wyborów, jakie odbyły się do Rady państwa na podstawie tej ustawy.



Zgon przyjaciela Polaków: Margrabia E. de Noailles.

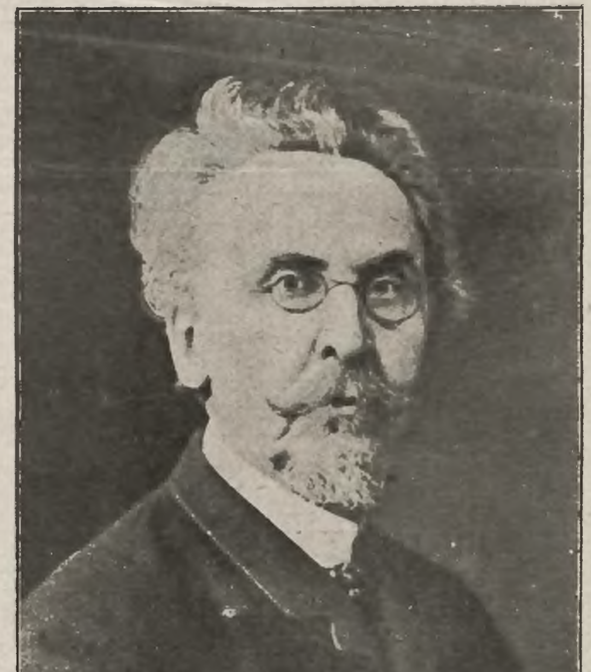
Śp. Gniewosz zmarł po dłuższych cierpieniach w Wiedniu. Obok podajemy portret zmarłego i zdjęcie fotograficzne z jego pogrzebu we Lwowie, który odbył się 22 b. m. przy wielkim udziale przedstawicieli władz rządowych i autonomicznych, licznych przyjaciół osobistych zmarłego i tłumów publiczności.

Transport wielbłądów.

Anglia, pani tylu kolonij, rozrzuconych po całym świecie, ma też z niemi nieustanne kłopoty. Stosunek zamorskich nabytków do kraju macierzystego jest nadzwyczaj luźny, a choć potęga angielskiego imienia utrzymuje je na oko w karbach, w rzeczywistości tak nie jest. Kolonie angielskie, to pięta Achillesowa rządu brytańskiego, który jeszcze o tyle jest w krytycznem położeniu, iż nie posiada właściwie regularnej armii, opartej na powszechnym obowiązku służenia wojskowo, lecz tylko pułki ochotnicze, a na nie nigdy tak przecież liczyć nie można, jak na regularne zastępy innych mocarstw. A w koloniach od czasu do czasu niezadowolone jednostki podnoszą butnie głowę i organizują powstania, zagrażające nie na żarty brytyjskiej przewadze na wszystkich wodach światowych. Wystarczy, aby tylko w jednej kolonii udało się powstanie, a w ślad za nią pójdą i inne siostrzyce, Anglia zaś znalazłaby się wówczas w położeniu bez wyjścia. To też rząd angielski nie żałuje ani ludzi ani kosztów, by zgnieść już w zarodku każde usiłowanie wybicia się z pod jego zwierzchnictwa i jak dotąd zawsze mu się to szczęśliwie udaje.

Obecnie dowiedziano się w Londynie, iż w kraju Somali, począł zbierać przeciw Anglikom swe bitne zastępy Somali-Mullah. Liczba gotowych do walki wojowników ma już wynosić około 70.000 ludzi, podczas gdy Anglicy rozporządzają na miejscu zaledwie 5.000 swego wojska. Rozpoczęto więc gwałtowny transport sił zbrojnych na zagrożone miejsce, a tymczasem zanim się skoncentruje odpowiedni oddział, który mógłby skutecznie stawić czoło powstańcom, uzbrojonym na sposób europejski, wysłano do brzegów krążownik *Philomel*, który ma na razie bronić interesów angielskich i posiłkować słabą armię lądową.

Illustracya nasza przedstawia przenoszenie wielbłądów, przeznaczonych dla wojska angielskiego z okrętu transportowego na brzeg. W tym celu używa się szerokiego pasa, który podkłada się wielbłądowi pod brzuch, następnie zaczepia się u góry o żóraw i w ten sposób w kilku minutach wielbłąd jest już na lądzie stałym. Od pewnego cza-



Towarzysz ś. p. Juliusza Kossaka: Zmarły we Lwowie ś. p. Edward Pawłowicz, konserwator „Muzeum Lubomirskich".

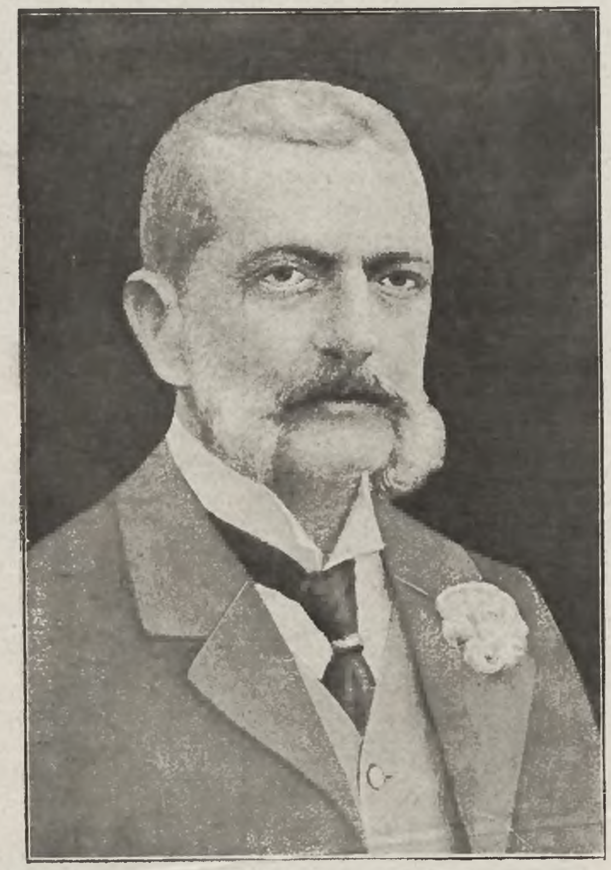


Niebezpieczny zwyczaj: Mieszkańcy Kaszmiru, grzejący się koszyczkami, napełnionymi węglem.

su do portu angielskiego w Berbera (półn. Somali) przybywa dziennie po kilka okrętów naładowanych materyałem wojennym.

Towarzysz ś. p. Juliusza Kossaka.

W pierwszej połowie lutego br. złożono we Lwowie na cmentarzu Łyczakowskim śmiertelne szczątki zasłużonego pracownika na niwie literackiej i artystycznej, ś. p. Edwarda Pawłowicza. Zacny staruszek doczekał się poważnego wieku, w chwili śmierci liczył bowiem lat 94, pracowicie spędzonych na pożytek ojczyzny. Sercem i duszą Litwin, romantyk nie dzisiejszego pokroju, cały pogrążony we wspomnieniach przeszłości, żył tylko wspomnieniem swej nadniemeńskiej macierzy, kochając ją nad życie.



Śmierć Wielkiego Księcia: W. Książę Włodzimierz.

Po ukończeniu studyów średnich na Litwie, nauki wyższe pobierał w wileńskiej Akademii duchownej i medycznej, tam też oddawał się nauce malarstwa. W r. 1849 wstąpił do Akademii sztuk pięknych w Petersburgu, gdzie otrzymawszy stopień artysty, udał się na dalsze studya do Florencyi i Rzymu, a następnie do Paryża. W r. 1858 osiadł na Litwie i objął posadę nauczyciela w gimnazyum nowogrodzkiem. W r. 1863 uwięziony, zesłany został do gubernii Ołonieckiej, gdzie przebył lat cztery. Z powodu klimatu nieprzyjaznego zdrowiu, otrzymał pozwolenie przeniesienia się do Jekaterynosławia. Tam uwolniła go „amnestya wierzbołowska“, przeznaczając mu na pobyt Królestwo Polskie. Osiadł więc w Warszawie, gdzie przez dwa lata kierował wspólnie z Juliuszem Kossakiem szkołą malarską dla kobiet, założoną przez hr. M. Łubieńską. Stąd przesiedlił się do Galicyi. Osłabiony w pracach artystycznych wzrok odmówił mu usługi i zmusił do szukania zajęcia na innem polu: zmienił więc pendzel na pióro. Ks. Jerzy Lubomirski, kurator Zakładu narodowego im. Ossolińskich, wezwał go do objęcia posady konserwatora „Muzeum Lubomirskich“ przy tymże zakładzie, na której to posadzie pracował owocnie lat 34 (do r. 1904). Przeszedłszy na emeryturę, żył samotnie w zacisznych murach Ossolineum. Od dłuższego czasu ś. p. Pawłowicz niedomagał, choroba przybrała jednakowoż dopiero w ostatnich dniach zwrot niepomyślny.

Spuścizna literacka po ś. p. zmarłym, przedstawia się bardzo obficie; prócz artykułów, drukowanych po różnych czasopismach, wydał też około trzydziestu rozpraw rozmaitej treści.

Zgon zasłużonego pracownika wywołał w całym Lwowie głębokie współczucie. Każdy, kto miał styczność z Ossolineum, czcił i poważał zasłużonego konserwatora, który umiał sobie zaskarbić powszechne sympatye zaletami umysłu i serca.

Cześć jego pamięci!

Niebezpieczny zwyczaj.

Rycina nasza przedstawia mieszkańców jednej z okolic Kaszmiru, położonej wysoko w górach Himalaja, którzy ze względu na ostry tam panujący klimat i na dość lekkie ubranie, używają do ogrzewania się oryginalnego sposobu. Służą im mianowicie do tego celu koszyczki, zawierające garnki, w których znajdują się rozżarzone węgle. Koszyczki te stawiają tuziemcy między nogami, gdy siedzą, lub też trzymają je pod zwierzchniem ubraniem, gdy są w ruchu.

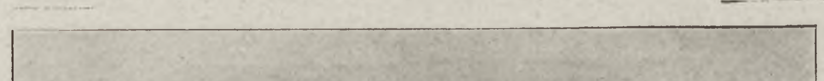
Lekarze angielscy zauważyli u tamtejszej ludności bardzo często wypadki raka. Badając je, przyszli oni do przekonania, że przyczyną, wywołującą tak częste przypadki tej strasznej choroby, nie jest co innego, jak ów zwyczaj ogrzewania się koszyczkami z węglem. Na skutek bowiem stałego podrażnienia skóry, w pewnych okolicach ciała powstają rany, które zamieniają się następnie w owrzodzenia rakowate. Siła zakorzenionego przyzwyczajenia jest jednak tak wielką, że pomimo ostrzeżeń, nie można nakłonić mieszkańców Kaszmiru do zaniechania tak niehygienicznego i niebezpiecznego zwyczaju.



Wielka katastrofa kopalniana: Wejście do kopalni w West Stanley pod Durham w Anglii.



Nowy środek agitacyjny: Kosz balonu z sufrażystkami angielskiemi.



Nowy środek agitacyjny: Balon sufrażystek angielskich.

PAWEŁ MARGUERITTE.

CZARNA KSIĘŻNICZKA

9 Ciąg dalszy.

Pani Mitre żałowała jednak więcej syna, niż synowej, a przytem znalazła sposobność do wygłoszenia pouczających sentencyi.

— Nie widzę zupełnie powodu, dlaczego przez czyn twojej żony — zrobiła nacisk na słowie twojej, by dać poznać całą jej odpowiedzialność — która wywróciła do góry nogami cały porządek w domu, zażywając za wiele laudanum, co, mówiąc nawiasem, nie powinno nigdy znajdować się pod ręką, lecz u ciebie w szufladzie, zamkniętej na klucz, dlaczego, powiadam, ty, mój drogi Edgardzie, poddajesz się wzruszeniu bez powodu, zwłaszcza przy twoim żołądku.

Po tem długiem, zawikłanem zdaniu odetchnęła i zaczęła znowu z lodowatym spokojem, nie dając przyjść do słowa synowi:

— Wszystko to świadczy dobrze o godnem pochwały uczuciu macierzyńskiem twej żony, lecz zupełnie nie jestem zdziwiona, przykro mi to powiedzieć ci, że zaszedł ten wypadek, gdy używa się kobiety najemnej, zamiast karmić samej swoje dziecko, jak ja to czyniłam, jak moja matka to czyniła i jak twoja żona powinna była to czynić, gdybyś ty spełnił swój święty obowiązek, nie ustępując jej kaprysom.

Potem dodała z westchnieniem, nie zmieniającem jednak jej namaszczonego wyrazu.

— Nie martw się; usiądź sobie wygodnie we fotelu; staraj się zasnąć. Czego jeszcze obawiasz się, jeżeli doktór zapewnił. Czyż ja się denerwuję? Czy widzisz, żem niespokojna?

Pan Mitre, nie śmiał wypowiedzieć, że wolałby, aby matka okazała jakiś niepokój.

— Ależ moje dziecko, pozwól sobie powiedzieć, że zdradzasz słabość, niegodną mężczyzny. Ja tutaj jestem: przybyłam w nocy dorożką, narażając się na katar, a ty daleko mniej troszczysz się o moje zdrowie, niż o żony.

Pan Mitre, który ubóstwiał swą matkę, zerwał się z krzesła:

— Czy mama nie przeziębiła się?

— Nie jestem pewna — odpowiedziała z godnością. Lecz nie zajmuj się mną. Zwykłam usuwać się na dalszy plan. Znam swój obowiązek...

Resztę jej słów przerwał jakiś hałas w przedpokoju, zmieszane głosy i służąca, która wbiegła do pokoju:

— Panie, proszę pana, panienka się znalazła!

Pan Mitre aż podskoczył, matka jego odsunęła gwałtownie fotel, w którym siedziała, tak, iż omal nie przewróciła filiżanki z bulionem.

Jakaś pani czarno ubrana, piękna, z wyrazem dobroci na twarzy, weszła wzruszona, a za nią gruba mamka z dzieckiem na ręku.

— Ach! mój Boże! Pani... Co za szczęście!...

Drżącemi rękami schwycił córeczkę, podczas, gdy Joanna pytała:

— A moje dziecko?

— Jest, jest, proszę pani, zaraz. Tereso! prędzej, przynieś synka pani!

I pobiegł do żony, a składając Made na poduszce koło niej, szeptał drżącym głosem:

— Patrz, Ninetko, patrz, nasza malutka.

Pani Mitre podniosła ciężkie od trucizny powieki, z pod których łzy jej popłynęły i spojrzała z czułością na dziecko:

— Made!

Tymczasem Teresa ze swą złą twarzą, przyniosła Jacka. Ludwika wyrwała go jej z rąk siłą i zaczęła okrywać pocałunkami, poczem wzięła go na ręce Joanna, przyciskając do piersi. Tak, to nasz Jacek!

— Biedne chłopiątko. Jaka Aurora będzie szczęśliwa.

Zaczęto udzielać sobie wyjaśnień, pan Mitre Joannie, Ludwika Teresie, zbyt szczęśliwe, by się jeszcze kłócić. Nastała dla wszystkich radosna chwila; na każdej twarzy widniały łzy i uśmiechy. Nawet rozweseliło się i oblicze namaszczone starszej pani Mitre. Syn jej podszedł do żony.

Szepnęła cicho:

— W imię Made mi przebacz!

Rozrzewniony odpowiedział jeszcze ciszej:

— Przebaczam ci...

XVII.

TAJEMNICA MAURYCEGO LE CHARS.

Wszystko wydało się Joannie piękniejszem, weselszem, gdy wróciła razem z Jackiem do domu. Zdawało jej się, że wyszła z ponurej otchłani, gdzie na każdym kroku czyhało na nią nowe nieszczęście. Teraz życie powróciło do dawnej normy, wszystko już w porządku!

Po nakarmieniu dziecka, które musiało być głodne, gdyż chciwie ssało pierś mamki, obmyła go, zmieniła mu bieliznę, odświeżyła, by czystego przedstawić matce. Ubierały się już do wyjścia, gdy w przedpokoju rozległ się jakiś szmer. Weszła pani Morailles, która miała klucze do mieszkania Joanny, tak, iż w każdej porze mogła być u niej.

Zamiast słów powitania usłyszała radosny okrzyk:

— Jacek jest! Jest tutaj!

Markiza ze wzruszenia zaledwie zdołała wyszeptać:

— Pokaż! gdzie jest?

I w pokoju Joanny we dwie razem z dzieckiem zaczęły opowiadać sobie przebieg ostatniego wieczoru, przerywając co chwila rozmowę pocałunkami, jakiemi obsypywały Jacka.

Aurora zwierzyła się, jak w ostatniej chwili zabrakło jej odwagi przyznać się do dziecka i że Joannę nazwała jego matką.

— Ale przecież to ja ci poradziłam w swym liście.

— W jakim liście?

— W którym pisałam o koronkach.

— Lecz tam nic więcej nie było.

— Ależ napisałam atramentem sympatycznym. Toś ty nie zauważyła znaku na kopercie?

— Żadnego nie było.

Zaniepokojona Joanna zapytała:

— A z tym listem coś zrobiła?

Teraz markiza zatrwożyła się:

— Zostawiłam go na stole, przy mężu.

— To on mógł go przeczytać.

— W jaki sposób? nic nie było znać.

— Wypadkiem mógł coś dostrzedz.

— Ach, już mi teraz wszystko obojętne, gdy mam znowu Jacka.

W chwili tej weszła Ludwika i z komiczną powagą odezwała się do Joanny:

— Pan markiz Morailles jest na dole i pragnie widzieć się z panią.

Obie kobiety zbladły.

— Mój Boże, a ja na teraz naznaczyłam tutaj spotkanie panu Le Chars — odezwała się Aurora.

— Co za fatalność! Markiz tutaj jeszcze nigdy nie był — rzekła Joanna, potem dając znak mamce, by zamknęła za sobą drzwi, zapytała:

— Czy pan markiz wie, że pani jest tutaj?

— Z pewnością — odrzekła rozradowana mamka. — Sama powiedziałam, pewnie pan markiz szuka pani, pani także się cieszy.

— Zejdźmy — zadecydowała Aurora — chować się już za późno.

Markiz powitał panią Dandre, skłonił się cokolwiek ironicznie przed żoną i zapytał, trzymając w ręku *Nowości:*

— Wizyta moja nie zadziwi pani, jeżeli powiem, że została wywołana przez naturalną ciekawość. Przeczytałem właśnie o wypadku i szczęśliwem jego zakończeniu.

Joanna nie zmieszała się. Odczuła jednak, że rozegra się tu ważna partya. Wskazała mu fotel, który on zajął, dziękując z prostotą pełną uprzejmości, poczem zapytał:

— Pani zapewne tem więcej była przestraszona, iż dziecko to jest tylko powierzone?... Co za odpowiedzialność!... Zdaje mi się, że to jest pani kuzynki?

W tonie jego głosu brzmiało szyderstwo, lecz tak skryte, iż można je było tylko odgadnąć.

— Pani kiedyś mówiła żonie nazwisko kuzynki; przykro mi, żem go zapomniał... Przebywa ciągle w Chinach?...

— Tak, ciągle...

— To bardzo daleko. Tem lepiej dla niej, bo nie doznała tych wzruszeń, jakie pani odczuwała. Co za niepokój dla prawdziwej matki, nieprawdaż?

Przy słowach tych zwrócił się do żony, która potwierdziła skinieniem głowy.

— Jak za to pani będzie swobodną, gdy pozbędzie się już tego opiekuństwa niebezpiecznego!... Ale jak ty jesteś bladą, Auroro! Tak cię to wzruszyło? Zresztą to naturalne!... Jesteś tak dobrą matką!...

Słowa te o podwójnem znaczeniu przeraziły obie kobiety.

— Ale przynajmniej jest pani choć teraz spokojną. Bo moja żona, zdaje się, istotnie — rzekł patrząc na nią — być bardziej poruszoną tem, niż pani... A w gruncie rzeczy niema czem. Mając metrykę, można było dzieci odszukać wcześniej czy później.

Przerwał na chwilę:

— Ten mały chłopiec, bo to chłopiec, prawda? nosi nazwisko pani kuzynki, a dla pani, jako matki chrzestnej pewnie, a przynajmniej krewnej...

Zapytanie było już dość jasne.

— Panie — odpowiedziała stanowczym głosem — nie czuję obowiązku zdawać rachunku ze swego prywatnego życia temu, kto protegował mego męża i kto mnie okazywał życzliwość, spotęgowaną jeszcze przez dobroć pani Morailles, ponieważ jednak pan mnie o to pyta, odpowiadam, że nie jestem ani krewną, ani matką chrzestną dziecka.

— Ach! — zawołał markiz mimowoli, rzucając spojrzenie, pełne nienawiści i wściekłości na swą żonę.

— Uważałam — mówiła dalej Joanna — iż winnam była skrywać tajemnicę urodzenia dziecka przez cześć dla pamięci mego męża, którego zdradziłam w przystępie uczucia silniejszego, niż moja wola.

— Co pani chce przez to powiedzieć?...

— Zmyśliłam tę historyę, by bronić swego honoru. Kuzyni moi nie mają dzieci. Ja jestem matką małego Jacka!

Głos jej nawet nie zadrżał, przyjmując na siebie winę. Zwróciła się do markizy:

— Czyż nie tak, Auroro? Czy zechcesz potwierdzić to panu Morailles, ty, którąś zawsze okazywała mi tyle uczucia.

Pani Morailles czuła, jak serce w niej zamiera. Więc ona prawdziwa matka ma zaprzeć się rodzonego dziecka. Mąż przypatrywał się jej. Rzekła złamanym głosem:

— Tak, to prawda.

Pan Morailles skłonił się. Jak jeszcze może wątpić? Czyż te wyznania nie rozproszyły jego podejrzeń?

— Pani będzie łaskawa wybaczyć mi — odezwał się, patrząc uważnie na Joannę — żem wywołał tę przykrą rozmowę; proszę wierzyć, że dyskrecya moja jest pewna...

I dodał:

— Ośmielam się dać jeszcze jedno zapytanie, a niech mi pani wierzy, że bez najmniejszej ukrytej myśli, jest to tylko skrupuł człowieka, który zna świat i myśli o zupełnie legalnem poparciu, którego może potrzebować niewinny, wszak dziecko to, on, jest niewinny. Pani więc bez wątpienia przyznała go za swego?

Czy to nowa pułapka? Jak z niej wyjść? Od powiedziała:

— Nie, nie mogłam go przyznać.

Twarz markiza zachmurzyła się:

— A teraz, gdy pani przekonała się o niebezpieczeństwie, jakie może grozić niepewnej jego egzystencyi, czy nie uważa pani za konieczne uznać go.

— Radzę się zawsze własnego sumienia.

— O ile — poddał markiz — nie zaślubi pani jego ojca, przez co wszystko zostanie załatwione.

Milczała.

— Proszę wybaczyć moją ciekawość. Czy nie żyje? Czy też niegodny jest pani?...

Zapukano do drzwi i Ludwika zaanonsowała:

— Pan Maurycy Le Chars...

Potem zwracając się do niewidzialnego gościa:

— Proszę, pan może wejść, wszyscy są w salonie; u nas dzisiaj święto.

Pan Morailles nie mógł skryć zdumienia. Więc Maurycy Le Chars zna Joannę? I spotyka się z panią Morailles... Dziwny zbieg okoliczności! Po co on tu przyszedł.

Le Chars na widok markiza, którego nie spodziewał się tu spotkać, ledwie powstrzymał się, by się nie cofnąć, obydwaj jednak panowie, udając wesołe miny, podali sobie ręce.

— Pozostawiamy panu wolne miejsce — rzekł markiz z dwuznacznym uśmiechem.

— Ależ, nie chciałbym...

— Nie, nie, my już żegnaliśmy się z panią Dandre. Czy wychodzisz, Auroro?

Markiza nie śmiała odmówić, wobec jego tonu stanowczego, choć pełnego uprzejmości. Jakiż powód może przytoczyć, by nie iść z mężem?

Pomiędzy panią Dandre a Maurycym Le Chars zapanowało milczenie, gdy zostali sami. Przypatrywali się wzajemnie. Odczuwali doniosłość rozmowy, jaka ich czeka.

— Pani — odezwał się wreszcie Maurycy — nie zna mnie i zapewne żywi względem mnie zupełnie usprawiedliwione uprzedzenie...

— Nie mam prawa pana słuchać, a tem mniej sądzić — odpowiedziała Joanna wymijająco. — Nie mnie, lecz panią Morailles miał pan tu spotkać.

— Tak, lecz czyż jesteśmy panami wypadków?

Sama pani widzi, że nie, ponieważ umyślna z pewnością obecność pana Morailles uniemożliwiła spotkanie, jakie mi markiza raczyła naznaczyć. Przed wyjazdem nie mogę już widzieć się z panią Morailles, a muszę ją uprzedzić o grożącem niebezpieczeństwie.

— Nie rozumiem pana — odrzekła Joanna.

— Wszystko chcę wyjaśnić, niech mi tylko pozwoli pani mówić do siebie, jako do największej przyjaciółki markizy, a zarazem nie burzy złudzenia, że mówię i do własnej.

— Panie — przerwała Joanna zmieszana — nie chcę zupełnie mieszać się w to, co pan ma oznajmić pani Morailles. Odjazd może pan odłożyć jeszcze.

— A czy to nie szczęśliwy wypadek, iż nie mogłem widzieć się sam z panią Morailles!... Czy rzeczy, które winienem jej wyznać, nie obudziłyby zbyt przykrych wspomnień, nie dotknęłyby za silnie jej uczuć i dumy?... Podczas, gdy te same słowa z ust pani, przyniosłyby jej zarazem ukojenie...

— Jeżeli tak...

— Pani waha się jeszcze, bo mnie nie zna, a ja panią znam, bo Robert w agonii już polecał markizę Aurorę opiece i sercu pani... Tak mi powiedział i odczuwam teraz jakąś smutną radość, gdy mogę to pani powtórzyć.

— I nie pomylił się — odezwała się ze łzami w oczach pani Dandre. — Niema rzeczy, której nie uczyniłabym dla niej.

— A więc, niech mi pani pomoże w mych wyznaniach i okaże choć trochę sympatyi... i jedną tylko łaskę, bym mógł patrzeć na to dziecko, które wywołało już tyle łez, a którego nigdy nie widział mój drogi brat...

Joanna spojrzała na niego wzruszona: więc on wszystko wie...

— Czyż pani nie widzi — rzekł, jakby czytał jej myśli — że ja znam całą prawdę. Lecz pani mi nie ufa, a ja dałbym dziesięć lat życia, by całą przeszłość naprawić. Dziecko, które pani wychowuje jest synem Roberta.

— Pan myli się — zawołała Joanna, nie wiedząc sama, co mówi.

— Wiem, wiem, że to jest syn Roberta. Lecz błagam, niech pani będzie tak szczerą, jak ja jestem. Przyjaciółka pani jest tak zagrożona...

— Proszę, niech więc pan mówi!

Maurycy zaczął opowiadać:

— Gdy brat opuścił Rzym, przez kilka miesięcy przebywał we Francyi, gdzie na pewien czas znalazł gościnne przyjęcie u pani Morailles w zamku la Roche-Forte... W kilka miesięcy potem wyjechał jako minister upełnomocniony do Serbii. O tem zapewne pani już wiedziała, lecz obcym może jest ten fakt z życia Roberta, iż zakochany w pannie Aurorze Cahorte, nie stracił nadziei nawet po odmowie, jaką usłyszał od dziadka markizy. Oczekiwał też lepszej przyszłości, gdy naraz dowiedział się o zaślubinach tej, którą uważał za swą narzeczonę. Był to dla niego straszny cios. Przez dwa lata pędził życie, pełne tajemniczych boleści, które zwolna wyczerpują największe siły. Odsunął się na dłuższy czas od świata, lecz potem z konieczności swych obowiązków, musiał bywać, znajdując wszędzie jak najlepsze przyjęcie. Zdarzały mu się najlepsze partye, znajdował uczucie, choć go nie szukał, aż w życie jego wmieszała się dziwna kobieta, wielka dama, za taką się przynajmniej uważała, księżna Strekow, według jej biletów wizytowych. Była piękna, bogata; władała pięcioma językami, znała cały świat. Dzięki temu znalazła dostęp do salonów, w których bywał i Robert. Chodziły o niej najrozmaitsze wieści, przedstawiające jej życie jako mieszaninę złota, krwi i błota. Nie mówiono tego głośno, gdyż książę Corona, gdy pewnego razu wspomniał, iż widział ją w Wiedniu w cyrku na koniu, na drugi dzień został wyzwany na pojedynek przez pułkownika Giulio della Marcia i przebity szpadą. W kilka dni potem pewnego deputowanego, który wątpiąco wyraził się o jej cnocie, znaleziono zasztyletowaneg na ulicy. Te krwawe sprawy podniosły jeszcze urok „Czarnej księżniczki“. Tak ją nazwano, ponieważ przy swej śnieżno białej cerze nosiła zawsze czarne toalety.

Zakochała się w Robercie; coś go odpychało od niej, lecz mężczyzna zawsze spełni to, czego żąda kobieta. Związek ich trwał blisko rok, poczem brat zdecydował się zerwać go: „Czarna księżniczka“ zaprzysięgła mu zemstę. Wybrała sobie kochanka, Greka Achillesa Agatosa, który złapany na oszustwie w grze, zastrzelił się. Księżna zaś podejrzana o szpiegostwo na rzecz Anglii, zmuszona była opuścić Rzym. Zniknęła tak, iż nikt nie wiedział, gdzie przebywa, choć krążyły o ich światowych występach najrozmaitsze wieści.

Odjazd jej był dla Roberta prawdziwą ulgą, lecz jednocześnie początkiem zapowiedzianej zemsty. Zauważył dokoła siebie pewną pustkę, oziębienie stosunków z przyjaciółmi, uszu jego doszły wieści o jakichś plotkach, których jednak nigdy nie mógł sprawdzić. Było to dziełem tej kobiety, która w tajemniczy sposób, nieuchwytny, zasypywała go gradem strzał zatrutych. Pobyt w Rzymie stał się dla niego ciężarem i postanowił z niego wyjechać. Wkrótce też został przeniesiony do Wiednia.

Wiadomości te wszystkie otrzymałem od brata na Dalekim Wschodzie, nie przykładałem jednak do nich wielkiego znaczenia. Miałem wytłomaczenie, które mnie jednak potępiało tylko: byłem palaczem opium. W narkotyku tym szukałem dla siebie ucieczki od strasznego ciosu, jakiego tam doznałem. Narzeczona moja, którą miałem wkrótce zaślubić, przeziębiła się i zmarła na galopujące suchoty. W opium znajdowałem zapomnienie boleści, jakie mi szarpały serce. Stałem się nałogowym palaczem, przechodząc przez wszystkie szały i męki, jakich człowiek w tym stanie doznaje. Gdy brat zażądał mojej pomocy, nie mogłem nawet uchronić sekretu, który on tak zazdrośnie strzegł, przed tą intrygantką i złodziejką...

Wreszcie przerwało mu mowę, ból i żal wycisnęły łzy w oczach. Joanna z coraz większą ciekawością i sympatyą dla niego, odezwała się:

— Rozumiem teraz pana i żałuję. Niech pan mówi!

Gdy Robert powrócił do Francyi, nie zwierzył mi się ze swą prawdziwą miłością, kryjąc ją w głębi serca. Spotkaliśmy się w Paryżu, skąd odprowadziłem go na nowe stanowisku w Belgradzie. Ku wielkiemu swemu zdziwieniu znalazł tam księżnę Strekow, zajmującą pod miastem wspaniały pałac. Przyjmowana na dworze, olśniewała towarzystwo serbskie swoim przepychem. Od brata zażądała nie tylko, by zachował w tajemnicy jej rzymskie przygody, ale by popierał ją swojem stanowiskiem. Chciała zawrzeć przymierze zaczepno odporne. Robet odmówił, poprzysięgła mu więc nową zemstę, a w wykonaniu jej nie rządziła się najmniejszymi skrupułami.



La Chars na widok markiza, którego nie spodziewał się tu spotkać, ledwie powstrzymał się, by się nie cofnąć.

W Belgradzie brat znalazł wszędzie jak najlepsze przyjęcie, szczególną jednak uprzejmością odznaczał się jeden z największych magnatów serbskich, książę Storwicz, który przedstawicielowi Francyi okazywał przyjacielską usłużność. Żona księcia Storwicz słynęła z niezwykłej urody: o złocistych włosach, szczupła, eteryczna, niezwykle muzykalna, wydawała się uosobnieniem poezyi wobec swego męża, którego wielki wzrost i potężna siła, stały się przysłowiową w całym kraju. Robert zbyt szlachetny, by odpłacić się za serdeczność zdradą, pełny miłości dla kogo innego, oceniał piękność księżnej, nie poddał się jednak ani na chwilę jej czarowi. I właśnie przeciw tej kobiecie i memu bratu zwróciła się cała przeszłość „Czarnej księżniczki“ i w tak przewrotny sposób, że przyniosłby on zaszczyt nawet Macchiavelowi.

Przestrzeżony, że żona zdradza go z posłem francuskim, wprowadzony w błąd przez fałszywe listy miłosne, w których podrobiono charakter pisma Roberta, książę Storwicz wpadł szalony z gniewu do pałacyku myśliwskiego, który mu wskazano za miejsce schadzek.

Zastał tam swą żonę i mego brata, którzy przybyli do pałacyku zdziwieni kto i w jakim celu przysłał im wezwanie tajemne, by o danej porze byli w tem miejscu. Gwałtowny, nie dopuszczając żadnego tłomaczenia — dostatecznym był dla niego fakt, iż zastał ich razem — książę z wściekłością rzucił się na nich. Schwycił brata za gardło i wypoliczkował go.

Joanna która słuchała opowiadania z wrastającem zainteresowaniem, wstrząsła się cała:

— Oh, jak to straszne!

Robert mimo wszelkich wysiłków uczuł się powalonym na ziemię i skrępowanym pasami od strzelb, a ponadto z zakneblowanemi ustami.

— Mógłbym cię teraz zabić jak psa — zawołał. Mam do tego prawo, lecz przedtem z nią się rozprawię. Wstrząsnął gwałtownie księżną, która leżała na ziemi w omdleniu, potem schwycił ją za włosy. Przyznajesz się, że on był twoim kochankiem. Mów, pytam się po raz pierwszy. Jęknęła boleśnie zamiast odpowiedzi.

— Dlaczego przeczysz, ty suko! — zawołał oślepiony gniewem — mam dowody, listy, jakie ten łajkak pisał. Poraz drugi pytam się ciebie.

Robert usiłował zerwać więzy, które zaczęły pękać, lecz książę odtrącił go nogą.

— Po raz trzeci, czy wyznasz? — i pociągnął ją za włosy, grożąc nożem myśliwskim.

Odpowiedziała:

— Tak jak Bóg jest na niebie, tak jestem niewinna!

— Zdychaj więc — zawołał.

I nóż szybko jak błyskawica ugrzązł jej w szyi, odcinając zupełnie głowę, którą książę odrzucił precz za włosy. Krew trysnęła fontanną, obryzgując twarz Roberta, szalonego z rozpaczy i gniewu.

Joanna zakryła sobie twarz rękami, szepcząc przerażona:

— Jakże to straszne!

— Teraz na ciebie kolej — zawołał książę, dostając dwa rewolwery.

— Ją zabiłem, bo była moją własnością. Ty będziesz miał zaszczyt bić się ze mną jak mężczyzna.

To mówiąc, rozwiązał pasy, które ubezwładniały brata. Jak tylko Robert uczuł się wolnym, odpowiedział mu ze wzgardą:

— Nie biję się z mordercą.

— Będziesz się bił.

— Możesz mnie zabić, lecz nie będę się bronił.

Wtedy książę plunął mu w twarz i zawołał:

— Wiedziałem o tem żeś łajdak. W Rzymie, Wiedniu kopano cię z tyłu, a tyś nie odwrócił głowy, by zobaczyć kto to robi. Oszukiwałeś w grze, żyłeś ze swych kochanek, okradając je z brylantów. Księżna Strekow zdemaskowała cię.

(Ciąg dalszy nastąpi).

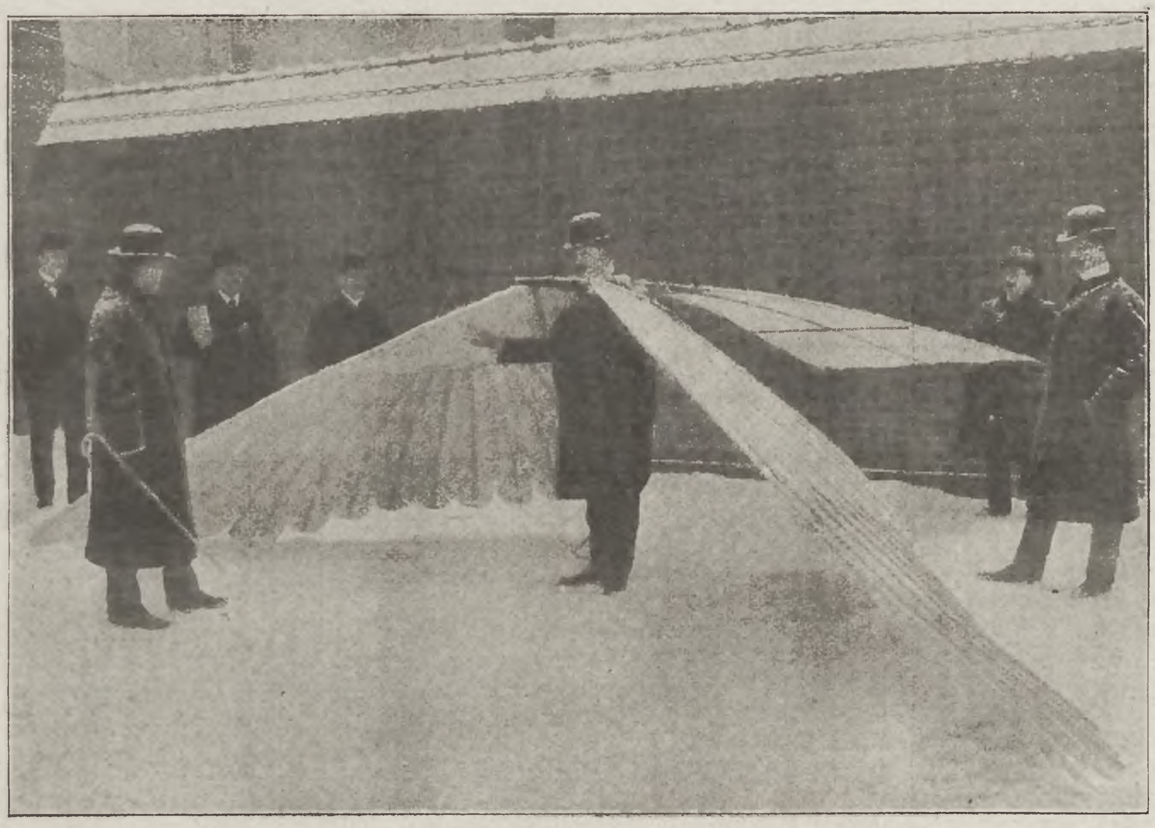
Osobliwa licytacya.

W wieku, kiedy żegluga napowietrzna święci swoje tryumfy, setki ludzi pracuje nad coraz to nowszymi wynalazkami, które umożliwiałyby jak najłatwiejsze przenoszenie się z miejsca na miejsce drogą powietrzną. Wielu straciło już na ten cel zdrowie i majątek, nie powstrzymuje to jednak naśladowców, których całe gromady przemyśliwają nad urzeczywistnieniem swych mrzonek, niejednokrotnie kończących się nawet zboczeniem umysłowem.

Niema narodowości ani kraju, któryby nie obfitował w podobne jednostki; powodzenie prawdziwych wynalazców spać im nie daje, radziby oni awiatykę sprowadzić na nowe tory. Jednym z niestety dość licznych przykładów zanadto wielkiego przejęcia się tą ideą, są losy niemieckiego inżyniera Springmayera z Rixdorfu pod Berlinem. Człowiek ten ostatek swego życia poświęcił kwestyi rozwiązania problemu napowietrznych statków do sterowania, studya te doprowadziły go jednak do domu obłąkanych. Aparat skonstruowany przez niego jest bardzo ciekawy. Przypomina on kształtem wielkiego ptaka, którego skrzydła sporządzone są z piór. Skrzydłami temi porusza człowiek zapomocą rąk.

W ostatnich czasach sprzedano w Rixdorfie na publicznej licytacyi aparat pomysłu nieszczęśliwego wynalazcy. Nabył go za niską cenę jakiś bogaty Berlińczyk.

Illustracya nasza przedstawia podwórze sądowe wraz z umieszczonym tam przyrządem, przeznaczonym na licytacyę.



Osobliwa licytacya: Aparat do latania pomysłu inżyniera Springmayera

Zamęt turecki.

Przewrót, jakiego dokonali Młodoturcy bez krwi rozlewu w państwie padyszacha, przyszedł tak niespodziewanie i zastał obywateli tego państwa tak mało przygotowanymi do życia konstytucyjnego, że wcale nie można się dziwić tej chwiejności i niepewności, które cechują obecną sytuacyę w Turcyi. Do tego trzeba dodać także nienawiść do urządzeń konstytucyjnych ze strony tych żywiołów, które tyle lat ciągnęły w bezczelny sposób korzyści z absolutnego panowania Abdul Hamida okradając skarb publiczny i wyzyskując współobywateli.

Że Młodoturcy będą mieli jeszcze niejedną ciężką walkę do stoczenia z reakcyą, opłakującą upadek absolutyzmu, dowodzą tego ostatnie zmiany w obsadzeniu urzędów: wielkiego wezyra i ministra wojny oraz dotąd nie wyjaśniona sprawa rzekomego spisku na sułtana. Pod naciskiem wotum nieufności, uchwalonego olbrzymią większością w parlamencie, ustąpił wielki wezyr Kiamil-pasza, uchodzący za skrytego zwolennika starego porządku rzeczy, jego zaś miejsce zajął Hilmi-pasza, zdecydowany stronnik konstytucyi, wedle zapewnień ze źródeł młodotureckich.



Zamęt turecki: Obecny wielki wezyr Hilmi-pasza.



Zamęt turecki: Były wielki wezyr Kiamil-pasza.



Zamęt turecki: Książę Jussuf-Izzedin.

Nowy minister wojny, Nazim-pasza, jest także kreaturą komitetu młodotureckiego, który stanowi obecnie formalny rząd w rządzie, a który opiera się głównie na wojsku i marynarce.

Obok portretów wyżej wymienionych osobistości, podajemy także portret księcia Jussuf Izzedina, na rzecz którego zamierzali podobno spiskowcy zdetronizować Abdul Hamida. Zdaje się jednak, że ów spisek był sfingowany i że miał tylko służyć Kiamilowi-paszy za pozór do sprowadzenia wewnętrznej polityki tureckiej na dawne reakcyjne tory. Nie udało mu się to jednak, tak, że narazie wielkie niebezpieczeństwo, grożące młodocianej konstytucyi, zostało zażegnane, chociaż daleko jeszcze do tego, aby wewnętrzne stosunki tureckie wyszły z zamętu, w które je pogrążyło niedobrowolne nadanie konstytucyi przez Abdul Hamida.

Zmiana marszałka ziemi Sandeckiej.

W ubiegłym tygodniu odbyły się w Nowym Sączu wybory marszałka tamtejszej Rady powiatowej w miejsce ś. p. Głębockiego, który przez długie lata dzierżył w swej dłoni ster tak ważnej autonomicznej instytucyi. Na 26 członków Rady obe-



Zamęt turecki: Minister wojny Nazim-pasza.

cnych było 24. Rozwinięto nader żywą agitacyę, każde stronnictwo chciało przeprowadzić wybór swego kandydata. Rząd reprezentował starosta Strzelbicki.

Posiedzeniu przewodniczył dotychczasowy wicemarszałek, Stanisław Potoczek, znany w szerokich kołach galicyjskich długoletni poseł do Rady Państwa. P. Potoczek ubiegał się również o opróżnioną prezesurę Rady, a jako kontrkandytat stawał



Zmiana marszałka ziemi Sandeckiej: Poseł Stanisław Potoczek, obecnie wybrany marszałkiem Rady powiatowej sandeckiej.

z nim do walki proboszcz ze Sącza, infułat ks. Dr. A. Góralik. Rezultat głosowania okazał się pomyślnym dla p. Potoczka; otrzymał on 14 głosów na 24 głosujących, reszta 10 głosów padła na ks. Góralika, który też pozostał w mniejszości. Ponieważ dotychczasowy wicemarszałek został wybrany marszałkiem, równocześnie odbyły się i wybory zastępcy. Oddano 24 kartki głosowania, z tych 10 było próżnych, 1 głos otrzymał ks. Góralik, zaś 13 głosów członek wydziału powiatowego Floryan Obmiński, notaryusz ze Starego Sącza. Pan Obmiński dotychczasową swą działalnością społeczną dał się poznać jako gorliwy i prawdziwy przyjaciel ludu, mający przedewszystkiem jego najżywotniejsze interesy na oku. Głośną była swojego czasu afera, jaką miał p. Obmiński z starostą nowosądeckim p. Jaroszem. Gdy w r. 1906 miały się odbyć nowe wybory do Rady powiatowej, przed posiedzeniem wyborczem p. Obmiński chciał postawić wniosek w sprawie czystości wyborów, starosta nie dopuścił go jednak do głosu, a nawet kazał go aresztować i natychmiast odprowadzić do więzienia, skąd go jednakże natychmiast wypuszczono na wolność.

Obecny wybór marszałka i wicemarszałka, których portrety podajemy w bieżącym numerze, spotkały się w całym powiecie z nader życzliwem przyjęciem, obaj elekci znani są bowiem jako nader skrzętni i energiczni pracownicy na niwie dobrobytu naszego ludu.



Zmiana marszałka ziemi Sandeckiej: Nowoobrany zastępca marszałka, Floryan Obmiński, notaryusz ze Starego Sącza.

Z krainy negusa.

Jednym z najzdolniejszych władców egzotycznych i to takim, który zdołał wyrobić sobie prawdziwą powagę w stosunkach z państwami europejskiemi, jest niezawodnie abisyński negus Menelik II. Wychował się on wprawdzie i wyrósł, nie zaznawszy dobrodziejstw cywilizacyi, z chwilą jednak, gdy dzięki wrodzonym zdolnościom i energii zdołał pod swoją władzę zagarnąć całą Abisynię, zrozumiał jej doniosłość i stara się o jej rozszerzanie w swem państwie. Ponieważ zaś Abisynia jest krajem, który z wielu względów powołany jest do odegrania kiedyś w dziejach Afryki roli bardzo ważnej, nic tedy dziwnego, że losami jej i osobą Menelika interesuje się żywo cała Europa.

Niedawno temu doszły nas wieści o rzekomej jego chorobie, a nawet śmierci. Okazały się one jednak przedwczesnemi, bo chociaż Menelik, liczący obecnie lat 65, cierpi na sklerozę, jednak ma się nieźle na zdrowiu. W każdym razie wysuwa się teraz na pierwszy plan kwestya następstwa tronu po Meneliku. Mocarstwa europejskie, a przedewszystkiem Anglia, Francya i Włochy, przyjęły do wiadomości zawiadomienie urzędowe ze strony Menelika, że mianuje swym następcą tronu, dwunastoletniego Ligg Ejassu, syna swej córki, wydanej za ras Mikaela. Cesarzowa Taitu, wywierająca wielki wpływ na swego męża, ma być przeciwna temu wyborowi i proteguje na stanowisko przyszłego negusa, syna innej córki, wydanej za ras Area Sellasie, który jest synem cesarza Jana, zabitego w roku 1889 w walce z Derwiszami, poprzednika obecnego negusa.

Na wypadek, gdyby cesarzowa Taitu postawiła na swojem, oznaczałoby to zwycięstwo partyi staroabisyńskiej, przeciwnej wszelkiemu postępowi, opartemu na przykładach, zaczerpniętych z Europy.

W dzisiejszym numerze podajemy ciekawe zdjęcie, przedstawiające Menelika w paradnym kostyumie, ale boso, w towarzystwie swego wnuka następcy tronu, oraz najwyższych dostojników państwa, również bez obuwia.



Z krainy negusa: Władca Abisynii Menelik, obok niego domniemany następca tronu Ligg Ejassu.

Projektowane małżeństwo królewskie.

Młodociany król Portugalii, Manuel, wstąpił rok temu na tron, jak wiadomo, przy prawdziwie tragicznych okolicznościach, po zamordowaniu przez spiskowców ojca, króla Carlosa i brata starszego a następcy tronu, Ludwika Filipa. Pomimo nader trudnych warunków, udało się młodemu królowi pokierować tak rządami swego kraju, że dotąd panuje w nim spokój i że przyszłość dynastyi Braganzów w Portugalii, zdaje się być zapewniona.

Ponieważ jednak ta gałęź Braganzów, która obecnie panuje w Portugalii, składa się tylko z króla Manuela II-go, z jego nieżonatego stryja, oraz jego babki i matki, przeto poruszono na radzie familijnej konieczność ożenku młodziutkiego monarchy. Upatrzono mu już — jak donoszą z Lizbony — małżonkę w osobie księżniczki Wiktoryi Patrycyi, córki ks. Connaught, a więc stostrzenicy króla angielskiego Edwarda. Księżniczka ta starszą jest wprawdzie od króla Manuela o lat przeszło trzy, ale przez nią, gdy zostanie królową portugalską, zacieśnią się węzły między królewską rodziną angielską a domem Braganzów, który potrzebuje te-

raz, więcej niż kiedykolwiek, możnego z zewnątrz poparcia.

Królowa matka Amelia, oraz królowa hiszpańska Wiktorya, siostra cioteczna księżniczki Wiktoryi Patrycyi, szczególniej interesują się tym projektowanym związkiem, na który zapatrują się przychylnie i sfery rządowe w Anglii, dążącej do zapewnienia sobie jaknajwiększych wpływów na półwyspie Pirenejskim.

Druga nasza rycina przedstawia moment z niedawnych odwiedzin króla hiszpańskiego Alfonsa w portugalskiem miasteczku Villaviciosa, gdzie podejmowali go król Manuel i królowa matka Amelia. W czasie odwiedzin tych, miała być także omawiana sprawa projektowanego małżeństwa kró'ewskiego.



Koniec romansu: Ilona Nyari z domu hrabianka Festetics.



Projektowane małżeństwo królewskie: Król Alfons hiszpański (2) wychodzi pod rękę z królową wdową Amelią (1) z zamku Villaviciosa, za nimi król portugalski Manuel II. (3)



Projektowane małżeństwo królewskie: Król portugalski Manuel II.

Zgon przyjaciela Polaków.

Kilka dni temu zmarł w Paryżu w sędziwym wieku, bo licząc lat 79, margrabia Emanuel de Noailles, wybitny niegdyś dyplomata i ceniony pisarz francuski, który należał do tak szczupłego obecnie grona przyjaciół naszych nad Sekwaną.

Do upadku Napoleona III-go trzymał się on, jak tylu innych członków rodowej arystokracyi francuskiej, zdala od spraw publicznych, oddając się studyom literackim i historycznym. Dopiero po wojnie francusko-pruskiej wszedł do Zgromadzenia Narodowego, później zaś poświęcił się karyerze dyplomatycznej. Prezydent republiki Thiers, wysłał go jako posła naprzód do Waszyngtonu, a następnie do Rzymu. W dalszym ciągu był ambasadorem w Konstantynopolu, a wreszcie w Berlinie, gdzie przebywał od 1896 do 1902 roku i gdzie okazał wiele zdolności, utrzymując możliwie dobry stosunek między trzecią republiką a Rzeszą niemiecką.

Z licznych jego prac, ogłoszonych drukiem, interesują nas najwięcej: „Henri de Valois et la Pologne en 1572“, „La Pologne et ses frontières“, oraz „La poésie polonaise“, w których okazał wiele prawdziwej sympatyi dla naszego narodu i jego kultury.

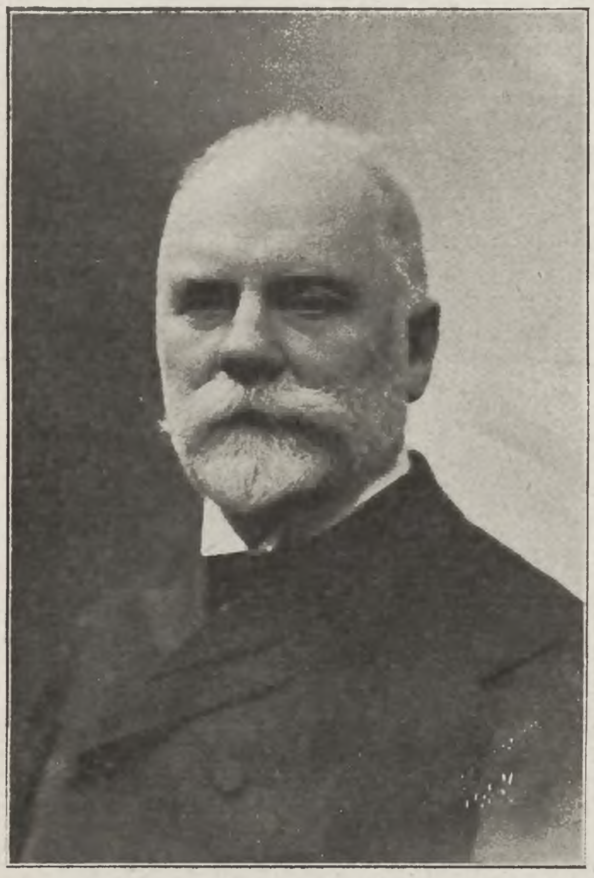
Nowy gabinet bar. Bienertha.

Żadne z państw europejskich nie może się poszczycić taką liczbą emerytowanych ministrów, jak Austrya, bo też nigdzie gabinety tak się rychło nie zmieniają, jak u nas. Niema roku, aby nie nastąpiła rekonstrukcya gabinetu, lub choćby zmiana kilku osobników, zasiadających na fotelach ministeryalnych. Jest to konieczne następstwo owej różnorodności, jaką przedstawia austryacki parlament. Z każdem silniejszem stronnictwem musi się rząd liczyć, bodaj chwilowo i stąd ta ciągła zmiana w składzie rady koronnej, która wobec tego nie może nigdy wykazać się jakiemiś pożytecznemi zdobyczami.

Ostatnia zmiana, aczkolwiek spodziewana odda wna, spadła jednak dość znienacka, prawie równocześnie z zamknięciem sesyi parlamentarnej. Wszystkie okoliczności, towarzyszące narodzinom nowego



Projektowane małżeństwo królewskie: Księżniczka Wiktorya Patrycya Connaught.



Nowy gabinet bar. Bienertha: Minister skarbu Dr. Leon Biliński.

gabinetu, wskazują na to, że liczy on z góry na § 14 ustaw zasadniczych i zapewne na dłuższe rządy bezparlamentarne. Już przy składaniu nowego rządu zlekceważono sobie parlament i stronnictwa miarodajne, co tak głośnem echem odbiło się w Kole polskiem. Reprezentacya polska zaskoczoną została formalnie nominacyą nowego gabinetu. Gdy nasi mężowie polityczni wybierali się do bar. Bienertha na konferencyę w sprawie rozdziału tek ministeryalnych, on wracał już z posłuchania u cesarza z zatwierdzonym składem gabinetu. To też było powodem zerwania stosunków między Kołem polskiem, a ministrem dla Galicyi.

Właśnie ów drugi gabinet nie jest nowym, tylko odświeżonym. Kierownictwo pozostało nadal w ręku bar. Bienertha, w inwentarzu objęto również także wszystkich ministrów rodaków i ministra obrony krajowej. Z pomiędzy nowych członków najbardziej nas obchodzi minister skarbu dr Leon Biliński, który po raz drugi obejmuje już tekę finansów. Wybitne jego zdolności każą się spodziewać, iż tradycya związana z każdorazowem objęciem tego stanowiska przez Polaka, zyska jedno potwierdzenie więcej. Zresztą, dr. Biliński dał się już poznać jako znakomity ekonomista i wytrawny polityk. Minister handlu dr Weiskirchner, dotychczasowy prezydent Izby posłów, rokuje również najświetniejsze nadzieje. Od roku 1897 piastując mandat poselski, dał się poznać jako wybitny parlamentarzysta, a choć jeden z filarów partyi chrześcijańsko-społecznej, potrafił sobie zjednać sympatyę wszystkich stronnictw. W politycznem życiu znani są także minister kolejowy Ludwik Vrba i minister oświaty hr. Karol Stürgkh. Pierwszy z nich kierował już raz ministerstwem kolei, drugi wybitny członek wierno-konstytucyjnej szlachty, nieraz już był bliskim ministeryalnej teki.

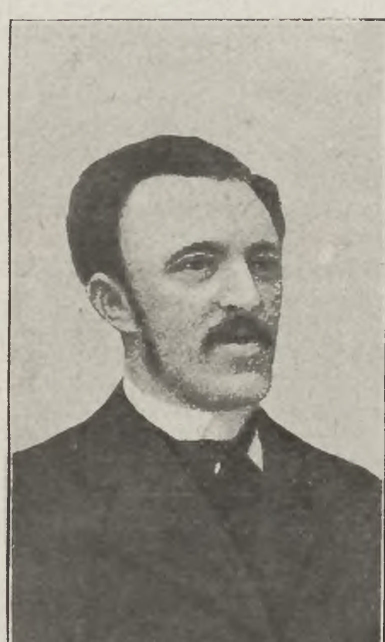


Nowy gabinet bar. Bienertha: Ludwik Vrba, minister kolei.

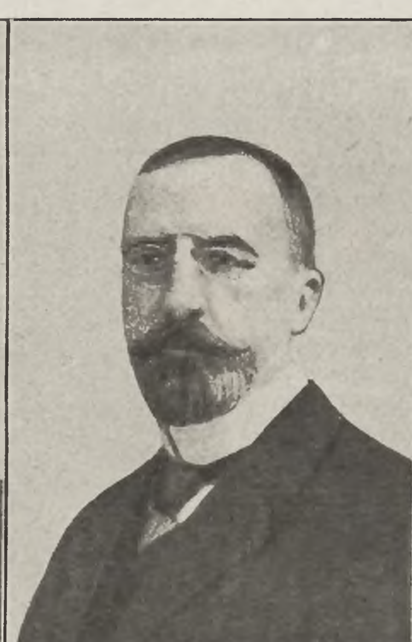
Jako *homines novi* występują na arenę polityczną minister robót publicznych dr August Ritt, minister rolnictwa dr Albin Braf (staroczech) i minister sprawiedliwości dr Wiktor Hohenburger, adwokat z Gracu. Ten ostatni, członek stronnictwa niemiecko-narodowego, już za czasów prezydentury Badeniego dał się poznać jako zdeklarowany przeciwnik wszelkich ustępstw na rzecz narodowości słowiańskich w Austryi.

Czy nowy gabinet czekają szczęśliwsze czasy niż poprzedni, tego przewidzieć dziś nie można, spodziewać się jednak należy, że wytężą wszystkie siły tak baron Bienerth, jak i jego współpracownicy, aby uzdrowić austryackie stosunki parlamentarne i przejść już raz ze stadyum gnuśnej ospałości na drogę intenzywnej a owocnej pracy. A czas po temu najwyższy!

Nowy gabinet bar. Bienertha:



August Ritt, minister robót publicznych.



Hr. Karol Stürgkh, minister wyznań i oświaty.



Dr. Wiktor Hohenburger, minister sprawiedliwości.

Smierć Wielkiego Księcia.

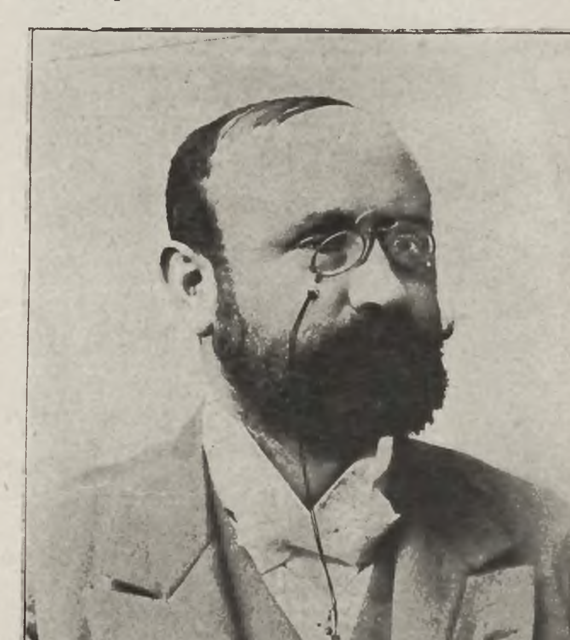
W ubiegłym tygodniu zakończył życie w Petersburgu jeden z zajmujących najwybitniejsze stanowisko i wielki wpływ na sprawy polityczne wywierających członków rodziny cesarskiej, wielki książę Włodzimierz. Zmarły był synem cesarza Aleksandra II-go, a więc stryjem obecnie panującego cesarza Mikołaja II-go, liczył zaś lat 62 wieku. Całe życie poświęcał się karyerze wojskowej, którą rozpoczął w preobrażeńskim pułku piechoty, a zakończył, jako szef gwardyi i petersburskiego okręgu wojskowego. Swego czasu wziął udział w wojnie turecko-rosyjskiej w 1877 roku i dowodząc XII korpusem armii, odznaczył się w walkach z Sulejmanem-paszą. Zmarły był żonaty z księżniczką meklembursko-szweryńską, Maryą, która dopiero ubiegłego roku przeszła na prawosławie. Pozostawił



Nowy gabinet bar. Bienertha: Prof Albin Braf, minister rolnictwa.

dwóch synów: w. ks. Borysa, znanego ze swego udziału w wojnie z Japonią i w. ks. Cyryla, oraz W. ks. Helenę, która wyszła za księcia greckiego Mikołaja.

Na brata swego cesarza Aleksandra III-go wywierał wpływ znaczny, którym zdołał go skłonić w 1881 r. do odrzucenia projektu konstytucyi, jaki przedstawił wówczas Loris-Melikow. I za obecnego panowania zmarły wielki książę, jak to zaznaczyliśmy wyżej, był bardzo znaczącą osobistością i uchodził za głowę partyi dworskiej, wrogo względem konstytucyi usposobionej. Jednakże usiłowania tej partyi, zmierzające do tego, aby nakłonić cesarza Mikołaja do odwołania konstytucyi i niewypełnienia manifestu październikowego, spełzły na niczem.



Nowy gabinet bar. Bienertha: Dr. Ryszard Weisskirchner, minister handlu.

ARNOLD GOLSWORTHY.

Krzyk w nocy.

6 (Ciąg dalszy).

— Ciągle mi się zdaje, że pan nie rozumie tego, co mówi. Oznajmiam, iż pan wyjść stąd może żywym tylko, godząc się na moje warunki.

— To znaczy, że obecnie pan mnie chce zamordować?

— Nie mam najmniejszego zamiaru, mówię tylko, iż jest pan tak, jakby już umarły. Daję panu możność wydobycia się stąd, lecz jeżeli pan upiera się i nie chce przyjąć moich warunków, nic na to nie poradzę. Będzie to samobójstwo a nie zabójstwo.

— Precz odrzucam pańskie niecne propozycye! Uczciwi ludzie nie obawiają się takich bandytów, jak pan. Mam ufność w opatrzność i nie cofnę się przed spełnieniem swego obowiązku.

— Bardzo mi to przykro; robię wszystko, co mogę, niech się pan jeszcze zastanowi.

Hammerton milczał. Zwolna przyzwyczaił się do ciemności i rozpoznawał już sylwetkę Hollisa o sześć kroków przed sobą; domyślił się, iż znajduje się on koło drzwi, a może nawet opiera się o nie. Jeżeli udałoby mi się zbliżyć do nich, myślał, może mógłbym i wyrwać się stąd. Jego przeciwnik był mężczyzną krępym, muskularnym, ale i on sam posiadał znaczną siłę, która nieraz już mu okazała pomoc. Wolno, bez szmeru począł posuwać się w kierunku Hollisa, lecz ten dojrzał jego manewr i zawołał z wściekłością:

— Stój! Uprzedzam, iż nie ma pan żadnej możności wyjścia; nie chcę uczynić panu nic złego, lecz jeżeli pan się zbliży o krok, posadzę pana z powrotem, ale już boleśnie.

Hammerton zatrzymał się. Nagle przyszła mu do głowy jedna myśl, której wykonanie mogło go ocalić. Zaczął rozmowę:

— Dobrze, nie będę się ruszał; przypuśćmy, że zgadzam się na pańskie warunki — mówiąc to, zdejmował wolno z siebie palto.

— Ach! Wreszcie pan zmądrzał! Jeżeli pan się zgodzi... Do stu piorunów!... — Reszta jego słów pozostała niezrozumiałych. Hammerton rzucił mu na głowę swoje palto i jednocześnie skoczył do drzwi, Hollis jednak był oparty o nie i czując koło siebie jubilera, schwycił go za gardło, starając się zarazem ściągnąć z głowy palto.

Zaczęła się walka. Przez chwilę Hammerton był pewny, że wyrwie się z rąk swego przeciwnika i zdoła otworzyć drzwi, za wiele jednak liczył na swe siły, które z chwilą każdą słabły; Hollis złapał głowę jego pod pachę i ściskając mocno, zaciągnął go do przeciwnego kąta i rzucił na ziemię.

— Powiedziałem już — mówił dysząc ciężko, zmęczony walką — że nie chcę robić panu przykrości i powtarzam to jeszcze, ale pan mnie do tego zmusza. Teraz wychodzę, gdy wrócę tutaj za dwa dni, może już pan stanie się rozsądniejszy.

Tymczasem Hammerton leżał na ziemi wyczerpany, nie mogąc się poruszyć z miejsca, na które rzucił go Hollis; słyszał tylko zamykanie drzwi i przekręcanie klucza w zamku.

IX.

Po zamknięciu za sobą piwnicy, Hollis przez chwilę podsłuchiwał pod drzwiami, poczem, nie słysząc żadnego szmeru, poszedł na drugie piętro. W ubogo umeblowanym pokoju, oświetlonym słabo jedną świecą, siedziała przy stole pani Alliston.

Ubrana była jeszcze biedniej, niż przy poprzednniem spotkaniu z bratem. Prawdę mówiąc, ktoby spojrzał na nią uważnie, dostrzegłby, iż to nie są jej zwykłe suknie, nie odpowiadają wyrazowi jej twarzy, ani harmonizują z białemi, starannie utrzymanemi rękami. Na odgłos zbliżających się kroków zapuściła woalkę, widząc jednak wchodzącego brata, podniosła ją znowu.

— I co? — zapytała niespokojnie.

— Nie udało się — odpowiedział z niechęcią. — John trzyma się dobrze, nie ustępuje; wziął nad nami górę.

— To znaczy, iż nie chce jechać i woli pozostać tu więźniem, niż przystać na te warunki?

— Tak — odrzekł lakonicznie Hollis.

Pani Alliston zacisnęła pięście i zaczęła chodzić nerwowo po pokoju.

— Czy dobrze zrozumiał... wszystko?

— Najzupełniej. Powiedziałem mu, że musi albo zgodzić się, albo umrze z głodu w piwnicy, nie poddaje się jednak. Mieliśmy nawet małą sprzeczkę. Próbował zarzucić mi palto na głowę i uciec, ale rozprawiłem się z nim.

— Zabiłeś go? — zapytała szeptem, zwracając się do brata.

— A to po co? Nie jest to mój fach; złożyłem go na ziemi, gdzie jeszcze do tej pory leży bez ruchu, lecz nie uszkodzony.

— Jeżeli rzucił się na ciebie, powinieneś go zabić!

— Ależ ja go nie chcę zabijać, nigdy takiemi rzeczami nie trudniłem się.

Pani Alliston westchnęła żałośnie, potem opadła na krzesło, biorąc się za głowę obiema rękami.

— Will! — rzekła, dając mu znak, by się zbliżył — staraj się pojąć, w jakiem położeniu znajdujemy się; twoje jeszcze nie jest tak beznadziejne jak moje, gdyż mężczyzna zawsze może łatwiej ukryć się lub przebrać, ale cóż ja mam począć. Tak mało zmieniłam się przez tyle lat, iż poznał mnie odrazu.

— Więc co z tego? — odezwał się Hollis znudzony już tem wszystkiem.

— Ależ on mnie rozpozna przy nowem spotkaniu.

— Pozostawmy więc go tam, gdzie jest.

— Co ty za głupstwa pleciesz! Przecież jak tylko my stąd wyjdziemy, do piwnicy wedrą się ludzie, od których wynajmowałeś ją, a wtedy on podkupi ich pieniędzmi i będzie znowu wolny. Zastanów się tylko, może przyjdzie ci jaka myśl zbawienna.

— Najlepiej będzie, gdy opuścisz na jakiś czas Anglię — zaproponował jej brat, który czuł się już zniecierpliwionym całą tą sprawą.

— Powiedziałam ci już, że nie jestem na to dość bogatą; on jeden tylko mi przeszkadza, bez niego będę tak bezpieczna w Londynie, jak i gdzieindziej. On musi wyjechać!

— Ja wszystko uczyniłem, by go przekonać; może ty zejdziesz do niego; ciemno jest jak w kałamarzu, nie będzie cię widział.

— On musi zniknąć, niema innej rady — mówiła jakby do siebie — obecnie czuję się spętaną; musi zniknąć... i zaraz!

Otworzyła drzwi na korytarz i upewniwszy się, że nikogo tam niema, zaczęła namawiać brata.

— Will, to jest jedynym naszym ratunkiem; tak jesteś teraz ty skompromitowany, jak i ja; będziemy oboje uważani za wspólników pierwszej zbrodni, musisz więc mi pomódz do końca. Jeżeli nie chce się zgodzić na wyjazd, możemy go zmusić do wybrania innej drogi.

— Nie do Peru w takim razie — odparł Hollis, nie rozumiejąc jeszcze — dokąd więc ma jechać?

— Głupcze nie domyślasz się? Musi jechać, musimy go sami wyprawić.... tej nocy, zaraz! Jeden cios i już koniec. Idźże i wypraw go do dyabła!

— Co?... chyba nie żądasz, bym mordował...

Kiwnęła mu kilka razy potwierdzająco głową.

— Nie — odmówił Hollis — nawet dla przedłużenia własnego życia nie będę odbierał cudzego; za daleko zaszłaś, skończymy już lepiej tę gadaninę.

— Will! Will! — szeptała, obejmując go rękami; — życie moje jest pełne mąk i rozpaczy, lecz myśl o śmierci pożera mnie. Będę walczyła do ostatka, by je zachować; on jeden tylko stoi nam na przeszkodzie i grozi haniebną śmiercią. Czym ja nie była dla ciebie dobrą, czym nie dawała ci pieniędzy? Będę ci teraz dwa razy tyle przysyłała, wszystko będziesz miał, czego żądasz. Pomyśl tylko, to tak łatwo, jeden cios i już spokój!

Hollis wyrwał się jej z objęć i rzekł ze złością:

— Skończ już swoje głupstwa, nigdy nie przypuszczałem, że tak daleko to zajdzie. Wiem, com wart, ale za żadne pieniądze nie przystanę na to. Mogę ci tylko pomódz do wyjazdu, a potem rozejdziemy się...

— Will, wysłuchaj mnie! — błagała. — Pomyśl tylko.... to jest nasze zbawienie. Potem będziemy wolni! Nikt nas nie zna tutaj; gdy ci ludzie zejdą do piwnicy i znajdą trupa, sami go pochowają dla własnego bezpieczeństwa. Will! los swój trzymamy teraz w rękach. Zejdź, jeden tylko cios, jedno uderzenie i on się już nie ruszy. Masz, uderz tem...

Namawiając brata, starała mu się wsunąć do ręki krótki sztylet o szerokim ostrzu, który on jednak odrzucił od siebie.

— Dosyć już tego głupiego gadania! — zawołał z wściekłością — jeżeli chcesz, chodź ze mną, a jak nie, to idź sama do wszystkich dyabłów. Nie będę dla twojej przyjemności w cudzej krwi się babrał; wyjeżdżam do Nowego Jorku, by raz się już ciebie pozbyć!

Pani Alliston doprowadzona do szaleństwa jego słowami, zaczęła tupać nogami ze złości, a potem jęczeć i płakać ale nie łzami żalu, lecz własnej bezsilności.

Hollis popatrzył na nią, poczem otwierając drzwi, odezwał się znowu:

— Czy idziesz ze mną?

Zamiast odpowiedzi zatupała nogami; brat spojrzał jeszcze raz i nie mówiąc już ani słowa, wyszedł.

Po odejściu jego podeszła na palcach do drzwi i wyjrzała po cichu na schody; nikogo nie było, nie dochodził żaden szmer. Wróciła następnie do pokoju, podniosła sztylet i schowała go do kieszeni, następnie zawinęła rękawy do łokci i cicho wysunęła się na korytarz. Upewniwszy się, że nikogo niema, zeszła ostrożnie do piwnicy.

Hammerton po walce z Hollisem, leżał na ziemi jakiś czas wyczerpany zupełnie, nie mogąc poruszyć się. Opanowało go jakieś uczucie zwątpienia, obojętności na nowe niebezpieczeństwa; spokojny i zrezygnowany, oczekiwał najgorszego losu. Zwolna jednak poczuł powracające siły. Podniósł się i zaczął rozglądać się dokoła; oczy przyzwyczajone już do ciemności spostrzegły zarysy ścian i jakąś pakę, na której kazano mu z początku siąść. Przez małe zakratowane okienko w górze, dobywało się szare światło wieczoru. Podszedł następnie do drzwi, próbując ich, nie drgnęły nawet pod jego parciem.

Nagle otaczającą ciszę przerwał jakiś szmer. Zaparł oddech, by lepiej słyszeć; ktoś wolno schodził po schodach. Odgłos z początku słaby, stawał się wyraźniejszy. Zbliżał się ktoś nadzwyczaj ostrożnie: w chwilę po tem przekręcono klucz w zamku.

Odczuł żywą radość. Zanim nowy przybysz rozezna się w ciemnościach, on przywykły do nich, będzie mógł z tego skorzystać i wymknąć się stąd. Pozostał przy murze, patrząc z zapartym oddechem, jak drzwi się wolno otwierają.

Ukazała się jakaś głowa; Hammerton chciał początkowo szarpnąć silnie drzwiami i rzucić się na przybysza, wspomniał jednak na poprzednią swą porażkę i postanowił czekać. Gdyby jednak chciano znowu zamknąć go, wtedy dopiero, zadecydował, zmierzy się z tą tajemniczą osobą, której nie mógł jeszcze nawet rozpoznać profilu.

Nagle usłyszał trzask zapałki; ucieszył się, iż wreszcie ujrzy światło, nie było to jednak to, czego spodziewał się; zanim zapałka zajęła się ogniem, rzucono ją na środek piwnicy, gdzie błysła na chwilę i zagasła zaraz. Nie oświeciła ona piwnicy, pozwoliła jednak osobie, która ją rzuciła, poznać położenie miejsca, a przez kontrast uczynić dla więźnia ciemność jeszcze czarniejszą.

Było coś przerażającego w tem podstępnem, tajemniczem zbliżaniu się wśród największej ciszy. Hammerton drżał cały i wargi sobie zagryzał, by nie było słychać jak szczęka zębami.

Drzwi otworzyły się szerzej i nieznajomy wszedł do środka poczem zamknął je za sobą. Przy wejściu jego rozległ się charakterystyczny szmer sukien kobiecych; tajemniczy więc ten gość był kobietą. W podobnej chwili i w tych okolicznościach mogła nią być tylko pani Alliston!

— Panie Hammerton, jest pan tutaj? — rozległ się spokojny głos.

Po chwili wahania postąpił krok naprzód i odezwał się:

— To pani Alliston? Co znaczy ten cały napad?

— Aha! — zawołała, zwracając się do niego — jest pan wreszcie! — obecnie głos jej zmienił się, nie był już tak pewnym siebie.

— Tak, jestem — odpowiedział Hammerton podniecony. — Proszę mi wytłomaczyć natychmiast to wciąganie mnie do piwnicy, żądam tego stanowczo.

I w uniesieniu tupnął nogą, usłyszał jednak drwiący śmiech:

— Pan żąda! Zapomina pan, gdzie jest, Johnie Hammerton, ja tylko mogę stawiać żądania, a pan je musi wypełniać, rozumie pan?

— Pani odważa się tak do mnie mówić!

— Tak, odważam się i na wiele więcej jeszcze rzeczy; po raz ostatni stawiam swe warunki, albo pan wyjedzie jutro, dając słowo, że nie wspomni o tem ani słowa, albo pan tu zostanie na miejscu, ale bez życia. Na co pan się decyduje?

— Pani chyba oszalała!

— Tak, oszalałam, dzięki panu, teraz jednak proszę odpowiadać, zgadza się pan, czy nie?

Hammerton nie wahał się już, co ma uczynić; ponieważ miał jeszcze możność ucieczki, postanowił z niej skorzystać i nie odpowiadając ani słowa zwrócił się ku drzwiom. Domyśliła się jego zamiaru.

— Proszę zaczekać! — zawołała.

Jednocześnie zaświeciła znowu zapałkę, w świetle której ujrzał, jak wyciąga z kieszeni błyszczącą broń, poczem wszystko zapadło znowu w ciemność. Wiedziała jednak w której stronie znajduje się i jednym skokiem rzuciła się na niego.

Nastąpiła straszna chwila. Dzięki cudownemu

wypadkowi zdołał schwycić ją za rękę i mimo osłabienia przytrzymać; zdał sobie teraz sprawę ze swego rozpaczliwego położenia, nie przypuszczał bowiem dotychczas, by odważyła się na morderstwo. Obecnie znajdował się w miejscu ciemnem i obcem, z zawieszonym sztyletem nad sobą, a jednocześnie czuł, jak z chwilą każdą siły go opuszczają. Wytężał się cały, by nie puszczać jej ręki, którą ona starała mu się wyrwać.

Nagle Alliston udała, iż opuszcza swą rękę, lecz jednocześnie, zanim mógł domyśleć się, otrzymał od niej straszny cios kułakiem między oczy. Jęknął z bólu i wściekłości i puścił jej rękę.

Nadszedł fatalny moment; czuł, jak podnosi do góry sztylet, z przerażenia zachwiał się i poddał się w tył; ruch ten ocalił go. Cios padł, lecz ostrze przecięło tylko marynarkę, odskoczył i gdy ona po raz drugi chciała uderzyć z wściekłością, rzucił się na nią i przewrócił na ziemię; sztylet wypadł jej z ręki. Został zwycięzcą.

Przez chwil kilka leżała bezwładna, poczem zaczęła łkać żałośnie i błagać:

— Miłosierdzia! Litości!

— Teraz litości! — odparł gniewnie Hammerton.

Nie chciał jej przebaczać, położenie jednak nieszczęśliwej, leżącej u jego nóg było tak bolesne, iż nie śmiał traktować jej zbyt ostro.

— Litości — jęczała — niech mi pan da sztylet i zostawi mnie tu samą. Przez miłość Boga, niech pan to uczyni.

— Proszę być cicho; pani sama nie wie, co mówi.

— Wiem, wiem; nic mi już innego nie pozostaje. To była moja stawka w grze, przegrałam ją i nie mogę już cofać się.

— Niech pani tego nie mówi. Prawda, role nasze zamieniły się, lecz nie ma pani we mnie okrutego wroga. Zbyt czuję nad sobą Opatrzność, bym nie miał szlachetności dla innych.

— Nie chcę pańskiej szlachetności — odpowiedziała posępnie.

— Pani zna stąd drogę, ja także nie będę zwlekał z wyjściem, o ile nie zagrożą mi go pani przyjaciele.

— Nie mam już przyjaciół, jestem sama, ostatni mnie porzucił. Niech pan idzie, nikt pana nie zatrzyma.

— Nie tylko, że musiałem znieść niegodne zachowanie się ze mną — wymawiał jej — lecz pani chciała jeszcze mnie zamordować, a teraz wydaje rozkazy. Łaska Boska uchroniła mnie od śmierci...

— Niech mi pan da spokój z swemi kazaniami — przerwała cynicznie.

— Dobrze, lecz może mi pani odpowie chociaż, dlaczego na mnie napadła.

Milczała; widział w ciemnościach jej postać, jak leży na ziemi, drżąc lekko i tłumiąc dobywające się z piersi łkanie.

— Nie chce mi pani odpowiedzieć, lecz domyślam się wszystkiego. Ja jeden mogę stwierdzić tożsamość pani i zawiadomić policyę, iż pani zna zabójcę swego męża, z czem się jednak ukrywa. Dlaczego pani to czyni?

Zatrzymał się, czekając na odpowiedź, nie usłyszał jednak ani słowa.

— Jeżeli pani posłucha mej rady, to porzuci tę grę niebezpieczną. Po co mieszać się do cudzej zbrodni; chroniąc zbrodniarza, staje się pani wspólniczką jego przestępstwa. Widząc, jak pani wiele poświęca dla tego celu, przypuszczam większy współudział pani w tem zabójstwie, niż sądzi o tem policya. Czy człowiek ten wart jest pani poświęcenia, czy godzien jest nazwy mężczyzny, jeżeli naraża pani życie? Dobrze! Przypuśćmy, że ja zapomnę o tem wszystkiem, pozwolę pani wyjść stąd spokojnie, nie niepokojąc potem, czy w takim razie powie mi pani nazwisko zabójcy?

— Nie! — odpowiedziała stanowczo.

— Jakiemiż więzami skrępował on panią? Czy pani nie rozumie, że życiem swojem może przypłacić tę tajemnicę.

— Wiem o tem.

— Wobec tego czuję się zmuszonym uważać panią za równie winną, jak i jego. Niech mnie Bóg broni, bym miał nadużywać pani opłakanego stanu obecnego, nie mogę jednak puścić bezkarnie zabójcy mego starego przyjaciela. Przedstawiam pani łatwe warunki, które jednak pani odrzuca bez wahania; nie pozostaje więc mi nic innego, jak zawiadomić o wszystkiem policyę.

Mruknęła coś wzgardliwie, nie dała jednak żadnej odpowiedzi.

— Czy chce pani wyjść ze mną, czy pozostać tutaj? Pani jednak zrozumie, że muszę o całem zajściu powiedzieć pierwszemu napotkanemu policyantowi.

Nie rzekła ani słowa, zachowując ciągłe milczenie.

— Do wyjaśnienia całej sprawy, wystaram się dla pani o łagodne obchodzenie się w policyi, to na prośby moje przyznają mi, potem jednak nie będę już mógł nic uczynić i wszystko zależeć będzie od śledztwa. Czy chce pani iść ze mną?

Nie otrzymując na swe pytanie ani słowa, skierował się do drzwi. Otworzył je i na chwilę zatrzymał się. Ze szmeru, jaki dosłyszał, odgadł, iż chce powstać. Nagle odezwała się stanowczo:

— Dobrze, będę panu towarzyszyła; potrzebuje pan światła.



Wiedziała jednak, w której stronie znajduje się i jednym skokiem rzuciła się na niego.

— Zapewne pani ma zapałki, możemy poświecić sobie niemi.

— W pudełku mam i kawałek świecy, zaraz ją zapalę.

Czekał dopóki nie zaświeciła. Zmrużył oczy, by przyzwyczaić się do światła, poczem przed wyjściem obejrzał piwnicę, w której przeżył takie złowróżbne chwile. Pomieszczenie to nie było wesołem; ze ścian ściekała woda, tworząc w kątach błoto, z sufitu zwieszały się jakby żagle pajęczyny, pokryte grubą warstwą kurzu, który przy silniejszem oddechu spadał na ziemię; podłoga zasypana była miałem węglowym.

— Niech pan weźmie świecę — odezwała się i podała mu ją.

Hammerton wziął pudełko zapałek, w którem świecił się mały ogarek i zwrócił się do drzwi. Pani Alliston również obejrzała się wokoło, wzrok jej jednak padł na miejsce, na które upadł sztylet; spostrzegła błyszczące jego ostrze. Bez najmniejszego szmeru schyliła się szybko i podniosła go, chowając w rękawie, które zasunęła na obnażone dotychczas ręce, poczem poszła za Hammertonem. Usunął się i dał jej znak, by przeszła pierwsza.

Nagle na stopniu schodów zatrzymała się, udając, iż słyszy jakiś hałas w górze.

— Co takiego? — zapytał z pewną niecierpliwością.

— Pst! — odpowiedziała — niech pan podniesie świecę do góry, by widzieć na schodach.

Hammerton wyciągnął rękę, jak mógł najwyżej. W chwili tej towarzyszka jego obróciła się, ujrzał szybki, gwałtowny ruch i jednocześnie poczuł silny ból w piersi; rękę opuścił bezwładnie, świeca upadła na ziemię i zgasła; uszu jego dobiegł odgłos szybkich kroków.

— Szatan! Zamordowała mnie! Boże, broń mnie! Upadam!

Jedną ręką schwycił się kurczowo poręczy, drugą przycisnął do rany, z której zaczęła dobywać się krew i pociekła przez palce. Jeszcze miał tyle przytomności, iż zrozumiał, że padając tutaj, nie znajdzie dla siebie żadnego ratunku. Jedynym zbawieniem dla niego: przejść tych kilka schodów i dostać się na ulicę. Zacisnął zęby i mimo silnego bólu zaczął się piąć do góry. Po chwili odpoczynku doszedł do sieni i opierając się o ścianę, dowlókł się do bramy. Orzeźwiony powietrzem wyszedł na ulicę i idąc przy murze, postąpił kilka kroków.

Pod latarnią stał policyant; Hammerton dojrzał, iż przygląda mu się. Ostatnim wysiłkiem zwrócił się w jego stronę i resztkami głosu zawołał rozpaczliwie:

— Na pomoc! Jestem przebity! — i padł bez czucia.

X.

Tymczasem Wilfred Alliston w odosobnieniu swem w Greenleafhurst wiódł życie bez żadnych przygód; dnie zajęte miał uczniami swymi, wieczory spędzał nad książkami lub na spacerach po okolicach miasteczka. Nieraz rozmyślał o śmierci ojca swego, starając się rozwikłać tę tajemnicę, z żalem jednak spostrzegł swoją niemoc w tym względzie. Nic innego mu nie pozostawało, jak tylko czekać cierpliwie, aż jaki wypadek zaprowadzi go na nowe ślady, a wtedy wytrwale już iść po nich. Smuciło go i to, iż nie miał żadnych wieści od Hammertona i przypuszczał, iż stary jubiler, widząc bezpożyteczność swych wysiłków, odjechał do Peru. Pewnej jednak niedzieli rano pan Ponderbury przyniósł mu list, na którym adres był wypisany nieznanym mu charakterem; stempel pocztowy był z Bournemouth. Nie mógł domyśleć się, kto to pisze, pospiesznie też rozerwał kopertę i odrazu rzucił okiem na podpis. Ucieszył się, gdyż przeczytał: John Hammerton.

Dopóki Hammerton pozostawał w Anglii, zdawało się Wilfredowi, iż jakiś silniejszy węzeł wiąże go z pamięcią ojca. List był obszerny, składał się z kilku kartek papieru i wycinku z gazety. Czyżby Hammerton odkrył jaki ślad? Nie tracąc czasu, wziął się odrazu do czytania.

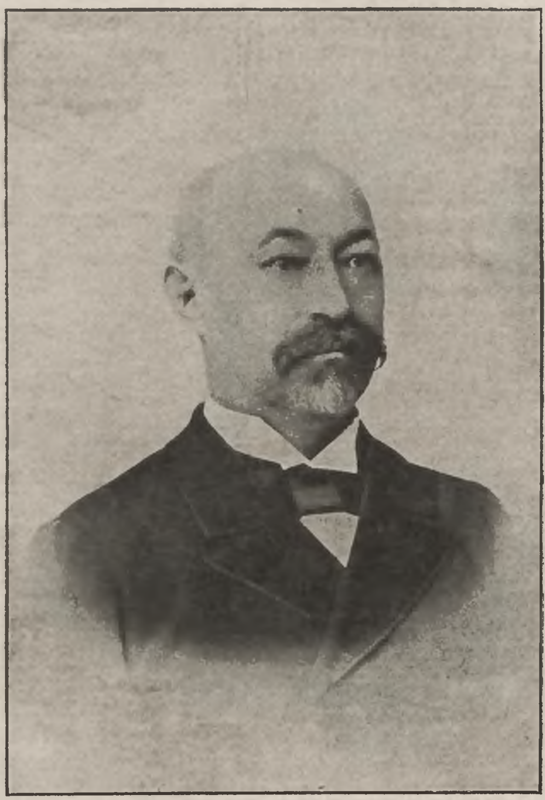
„Kochany panie Wilfredzie.

„Dziwić pana musiało moje długotrwałe milczenie, jak również i ten list, wysłany z mało uczęszczanej miejscowości nadbrzeżnej a nie z Peru, dokąd zapewne pan przypuszczał, iż już odjechałem. Pochodzi to stąd, iż byłem poważnie chory i chociaż obecnie znajduję się w stanie rekonwalescencyi, zmuszony byłem według porady swych lekarzy przybyć tutaj i pozostawać aż do zupełnego wyzdrowienia.

„Na razie nic więcej nie będę mówił o sobie, lecz przejdę wprost do pańskich spraw i spodziewam się, że to co zakomunikuję, wyjedna mi u pana przebaczenie za zbytnią moją śmiałość w rządzeniu się nie swojemi interesami. Nie wspominałem panu, iż wkrótce po śmierci pańskiego ojca napisałem do jego adwokata w Limie, który także jest moim dawnym przyjacielem, o tem strasznem nieszczęściu a zarazem poleciłem mu w pańskiem imieniu, by zajął się spadkiem. Widziałem, że nie jest pan usposobiony do wnikania samemu w tę sprawę i z przykrością tylko słuchałby o niej, z tych też względów ośmieliłem się rozporządzić się sam. C. d. n.

Nieudała zasadzka.

W dniu 16 lutego b. r. zaalarmowani zostali spóźnieni przechodnie na ulicy Leszno w Warszawie głośnym krzykiem. Krzyk ten pochodził z okna domu Nr. 17, w którym stał jakiś starszy człowiek i wzywał pomocy, wołając, że jakiś zbrodniarz chce go zamordować. Jeden z przechodniów pobiegł ulicą Lesznem do rogu ulicy Rymarskiej i napotkawszy tam posterunek policyjny, zawiadomił stójkowych o alarmie, a ci, nie chcąc tracić czasu, wskoczyli do stojącego na ulicy prywatnego pojazdu i pędem udali się pod wskazany adres. Dom ten w całości prawie jest zajęty przez znaną firmę handlową braci Orszagh.



Nieudała zasadzka: Znany w Warszawie przemysłowiec, Jerzy Országh.

Pan Jerzy Orszagh, jeden ze wspólników, a zarazem kasyer firmy, jak zwykle po ukończeniu swej pracy, udał się do łaźni, skąd około godziny ósmej poszedł do wspólnej jadalni na wieczerzę. Po spożyciu posiłku skierował się do swego pokoju, przed nim szła służąca, świecąc mu po drodze. Służąca, jak zwykle, zostawiła świecę i poszła do swej izby. Pan Orszagh udał się tymczasem do sąsiedniego pokoju po wodę. Tam, ku wielkiemu swemu przerażeniu, spostrzegł za drzwiami jakiegoś obcego, człowieka, który widząc, że jest zdemaskowany, rzucił się na Orszagha, usiłując go ubezwładnić uderzeniem siekiery. Orszagh, zasłoniwszy się, osłabił uderzenie, a schwyciwszy bandytę za gardło, powalił go na ziemię. Korzystając z chwilowego oszołomienia, zamknął napadnięty pokój na klucz i udał się do swego mieszkania, skąd rozpoczął alarm. Zbiegli się domownicy, a w krótce przybyła i policya.

Jak się pokazało, sprawcą napadu był wydalony ze służby przed niedawnym czasem parobek, Andrzej Kozdroń. W porozumieniu z miejscowym kucharzem, Władysławem Borkowskim i służącą Katarzyną Cichocką, postanowił on zabić Orszagha, dlatego też ukrył się w sąsiednim pokoju, gdzie miał poczekać, dopóki ofiara nie zaśnie, zdradził go jednak przypadek. Kozdronia i Cichocką natychmiast aresztowano, za Borkowskim rozpoczęto poszukiwania.

W bieżącym numerze podajemy portret ocalonego Orszagha, oraz podobiznę przytrzymanego zbrodniarza.

Dwudziestolecie „Domu sierót“ w Warszawie.

Pożyteczna wielce instytucya w Warszawie, „Dom sierot“, powstała z fundacyi ś. p. Leona i Maryi z Kronenbergów baronowstwa Lenvalów, obchodziła kilka dni temu dwudziestoletnią rocznicę swego istnienia. W tym czasie pomieniona instytucya, w której wychowankowie przebywają do chwili uzyskania uzdolnienia fachowego, t. j. mniej więcej przez lat dziesięć, dała przytułek 114 sierotom. W tej liczbie jest teraz 25 uzdolnionych pracowników, mających samoistny byt zapewniony, a 52 sierót znajduje się w zakładzie.

W czasie obchodu rocznicy, do którego dali inicyatywę byli wychowankowie „Domu sierót“, ks. Chełmicki, długoletni członek jego zarządu i współdziałacz w jego założeniu, przedstawił myśl przewodnią fundatorów, obecny zaś prezes instytucyi p. Kiślański, złożył znaczniejszą ofiarę pieniężną na rzecz szkoły miejscowej.

Dla upamiętnienia powyższej rocznicy, członkowie obchodu jubileuszowego dali się fotografować, w grupie wraz z wychowankami „Domu sierót“, my zaś podajemy odbitkę z fotografii tej grupy.

Wielka katastrofa kopalniana.

Nie kończący się szereg katastrof elementarnych, które ciągną się nieprzerwanem pasmem przez kilka ubiegłych miesięcy, znów powiększył się o jedną i to w rozmiarach bardzo poważnych. Tym razem zdarzyła się ona w północnej Anglii w miejscowości West Stanley pod Durham, gdzie znajdują się jedne z najbogatszych kopalń węgla kamiennego w wybornym gatunku, dostarczające rocznie przeszło 30.000.000 ton tej cennej kopaliny, przyczem zatrudnionych jest więcej niż 100.000 robotników.

Jak zwykle w podobnych wypadkach, tak i obecnie niewiadomo dokładnie, co było przyczyną wybuchu, który wydarzył się w wymienionej kopalni w końcu ubiegłego tygodnia. Skutek wybuchu był



Nieudała zasadzka: Były służący Andrzej Kozdroń, który z siekiera targnął się na J. Orszaágha i ciężko go zranił w głowę.

straszny, ponieważ zapadł się główny szyb, którym można było dotrzeć do wnętrza kopalni. Z dwustu zasypanych górników udało się tylko nieznaczną część uratować, reszta poniosła straszną śmierć, zostawszy pogrzebaną za życia.

Rycina nasza przedstawia chwilę, gdy na wiadomość o katastrofie pospieszyły tłumy ku głównemu szybowi, skąd prowadzi zejście do kopalni. Łatwo sobie wyobrazić, jakie się tam rozgrywały sceny tragiczne, gdy kobiety i dzieci nie mogły doczekać się wyratowania swych mężów, ojców, synów i braci, lub też, gdy zamiast żywych oglądały ich zwęglone zwłoki.



Dwudziestolecie „Domu sierot“ w Warszawie: Wychowankowie i członkowie zarządu instytucyi. 1. X. Chełmicki. 2. Prezes Kiślański. 3. Dr. Benni. 4. Aleks Feist.

Kronika tygodniowa.

(Pod znakiem śledzia. — Bakaj i Burcew. — Bomby. — Wielki Kraków chciał się spalić. — Echa karnawałowe. — Malarska szarańcza. — Dyletantyzm na każdym kroku. — Kokosza wojna o fotele. — Z Serbii. — Rozpruwacz, Kurek i Schwarzer. — Sufrażystki. — Klapa partyi. — Drobiazgi).

Niniejsza kronika jest pierwszą pod znakiem wielkopostnego śledzia, który na dni czterdzieści objął niepodzielne panowanie nad całym światem, więc też i nad naszym kochanym Wielkim Krakowem. Nic też dziwnego, że i kronika pod jego wpływem musi być poważna, jeśli nie smutna, chyba, że uda się jeszcze tu i ówdzie pomieścić jakieś karnawałowe reminiscencye.

Bo proszę sobie tylko wyobrazić, pod wpływem sądu „obywatelskiego“ nad Brzozowskim i rozprawy Borowska-Haecker, cały Kraków rozbakajował i rozburcewował się do tego stopnia, że gdzie tylko krok postawisz zaraz zagaduje cię jakiś znajomy: Panie, widziałeś pan Burcewa? Co pan myśli o Bakaju? itd., itd., aż do uprzykrzenia. Sala sądowa, gdzie toczy się rozprawa, jest stale szczelnie nabita, galeryę zajmuje płeć piękna, na dole gniotą się, jak śledzie, towarzysze z pod „Czerwonego Sztandaru“, którzy bacznie śledzą przebieg, radując się z każdego zasypania się skarżącej lub podziwiają wielkość i poświęcenie Bakaja, który dla idei nie wahał się poświęcić intratnej posady szpiega, aby módz tylko pracować dla dobra umiłowanej przez się partyi. W chwili, gdy to piszę, wyniku przewidzieć jeszcze nie można, zanim jednak ziemia okręci się dwa razy koło słońca, będziemy już świadomi wyroku, to też przy końcu niniejszej kroniki nie omieszkam się podzielić ową wiadomością z Szanownymi Czytelnikami.

Bardzo piękną illustracyą owych tragicznych historyj, o których opowiadał p. Bakaj i Burcew przed kratkami sądowemi, był dwukrotny wybuch bomb, ale takich niewinnych, krakowskich, jednej w Rynku obok apteki, drugiej w kamienicy przy ulicy Szewskiej. Policya poszukuje wprawdzie sprawcy, ten jednak ani myśli się zgłosić, a wartoby go dostać w ręce, aby się raz przecież dowiedzieć na pewne, czem ów domorosły „wybuchowiec“ napełnia owe żelazne rury, które przerywają nam ciszę, w jakiej jesteśmy pogrążeni.

Jeśli już mowa o nieszczęściach, to wspomnieć nie zawadzi i o niebezpieczeństwie, jakie groziło naszemu Wielkiemu Krakowowi. Omal, że nie padł on ofiarą niszczących płomieni, wyszedł jednak względnie cało, trochę tylko okopcony, co nawet bardziej odpowiada zewnętrznemu wyglądowi grodu Krakusowego. Każdy się prawdopodobnie domyślił, że mam tu na myśli pożar na nieustającej wystawie budowlanej w Krakowie, gdzie plan Wielkiego Krakowa był wystawiony. Dzięki Bogu skończyło się na okopceniu tylko naszej stolicy, jest to jednak zły omen na przyszłość, drugi z rzędu po magnezyowej eksplozyi w chwili jego narodzin. A może są to tylko nadprzyrodzone znaki, wieszczące jego wielkość i znaczenie? Poczekajmy, a dowiemy się niechybnie.

Celem zlikwidowania rachunków karnawałowych, należy wspomnieć o Reducie Prasy, którą w ubiegłym tygodniu tak wychwalałem. Niebiosa zrządziły, że z powodu influenzy, która powaliła mnie na łoże boleści, sam osobiście nie mogłem wziąć w niej udziału, choć ordynujący lekarz bardzo mnie do pójścia zachęcał, zapewniając, że za tanie pieniądze będę się tam, wobec panującego ścisku, mógł znakomicie wypocić. Załuję, że nie posłuchałem mądrego zdania, gdyż ścisk był należyty, miałem jednak nadzieję, że to samo uda mi się na ostatniej reducie, jaką miano w ostatki urządzić w Ludowym Teatrze. Tymczasem zazdrosna policya uniemożliwiła moje chęci, zakazując urządzenia reduty ze względów na moralność publiczną i niewinność c. k. krakowskich podatników, którzy mają pieniądze na reduty, a tłumaczą się ich brakiem, ile razy przyjdzie płacić podatki wraz z dodatkami.

Jeśli dotąd płaciliśmy podatki z niechęcią, to cóż dopiero będzie z chwilą, kiedy zaprowadzi się u nas podatek od starych kawalerów, proponowany już przez ks. Stojałowskiego w Sejmie, a świeżo wprowadzony w Bułgaryi. Będzie to wprawdzie prezerwatyzw przeciw hyperprodukcyi starych panien sufrażystek, co tylko dodatnio odbić się będzie musiało na naszych stosunkach, w każdym razie kieszeń będzie narażoną na szwank, a wiadomo każdemu, że i tak cierpi ona na chroniczną niedomykalność.

Ze względu na ową finansową bryndzę, dziwi mnie jednak pewna okoliczność, która zdawałaby się świadczyć o czemś przeciwnem. Pomijając już wszelakie nasze wielkopańskie nawyczki, jakiemi wobec świata niejednokrotnie narażamy się na śmieszność, dzięki naszej źle zrozumianej wyrozumiałości dla biedy ludzkiej, pozwoliliśmy się u nas rozszerzyć prawdziwej pladze malarskiej. Rozmaici nierozwinięci adepci sztuki rozpoczęli na wielką skalę fabrykacyę bohomazów, które wieczorami rozsyłają przez różnych obdartusów po krakowskich restauracyach, pozbywając je po śmiesznie niskich cenach, wygórowanych jednak w stosunku do ich artystycznej wartości. Taki młodzian dopóty będzie cię nudził, póki nie pozbędziesz się go, kupując dwa olejne widoczki za koronę, a kupujesz je, wmawiając w siebie: ot, trzeba dopomódz biedakowi, może jeszcze dziś nie jadł! Jeśli jednak znajdzie się prawdziwy artysta, który chciałby sprzedać swój porządny obraz, to kiwamy głową, namyślamy się dwa tygodnie i odchodzimy z niczem.

Popierając owo partactwo artystyczne, źle robimy podwójnie, gdyż marnujemy grosz na głupstwa bez wartości, a nadto umożliwiamy wegetacyę owym niby malarzom, którzy przyzwyczaili się już do łatwego zarobku i wobec tego nie chcą się chwycić poważniejszej pracy.

Ale owe dyletanctwo daje się nam we znaki nietylko w malarstwie, znajdziesz je, gdzie się obrócisz: w każdym dziale sztuki, literaturze, polityce. Im osobnik odnośny niżej stoi umysłowo, tem bardziej stara się piąć na piedestał, gdzieby chciał uchodzić za wyrocznię. Najbardziej daje się to odczuć w polityce, gdzie owe przejęte swą wielkością jednostki, chciałyby koniecznie nadawać ton i ująć w swe ręce rządy kraju. Co druga z nich, to kandydat na ministra, nikt się więc nie zdziwi, że między ministrem Abrahamowiczem a Kołem Polskiem powstał gwałtowny rozłam i przepaść, przez którą napróżno chcą poprowadzić bodaj prowizoryczny mostek porozumienia. Koło Polskie czuje się gwałtownie dotknięte tem, iż minister dla Galicyi, nie mając przecież i tak co robić, nie informował go o sytuacyi i nie przemógł, aby choć ze dwa fotelik obsadzić naszemi krajowemi wielkościami. Jeśli bowiem na każdym kroku ma się popierać przemysł krajowy, dlaczegóż nie wprowadzić go i przy tworzeniu ministeryów? Zdaje się, że ofiarą padnie sam Abrahamowicz, który będzie musiał opróżnić swój fotel na rzecz któregoś z naszych wielkich i zasłużonych. Owa kokosza wojna, prowadzona jest z ogromną zaciekłością, gdyż nasi panowie posłowie, pozbawieni dyet, mają strasznie kiepskie humory i radziby wywrzeć na pierwszym lepszym swe nieukontentowanie. A czy może być lepszy kozioł ofiarny, jak ekscellencya pan minister dla Galicyi, który, jakby na ironię, pobiera ciągle pensyę, gdy nasi posłowie mają pustki w kieszeni i nie wiedzą nawet, kiedy panu Bienertowi przyjdzie ochota zwołać znowu sesyę! W swem zacietrzewieniu nie baczą nawet należycie na politykę zewnętrzną monarchii, a czarne chmury od strony półwyspu Bałkańskiego pokrywają coraz bardziej horyzont. Ostatnie wiadomości polityczne brzmią tak wojowniczo, że już się zdaje, jakoby lada chwila miał nastąpić wybuch na Bałkanie, skąd bardzo łatwo mógłby się rozejść pożar po całej Europie. Wprawdzie braknie Serbom dzielnego wodza, gdyż księcia Jerzego nie przyjęto na kurs sztabowy z powodu zbyt nizkiego wykształcenia, ale czyż ostatecznie trzeba mieć koniecznie dyplom w kieszeni, aby módz jakąś rzecz, jak należy, poprowadzić?

Bardzo jestem ciekawy, jak wyglądałaby owa karna ekspedycya, wysłana przez Austryę do Serbii, o czem niejednokrotnie wspominały codzienne pisma. Śmialiśmy się, że Serbowie chodzą bez butów i mają armaty, ale bez kul i proch niestrzelający, ale kunktatorską swą polityką dała Austrya Karageorgiewiczom sposobność uzupełnienia braków i możemy być pewni, że z chwilą, gdy wojska austryackie przejdą granicę, napotkają na zacięty opór, gdyż każdy z Serbów wojnę tę będzie uważał za wojnę świętą, za walkę Słowiańszczyzny przeciw niemieckiemu najazdowi. Jedyna pomoc, na jaką Austrya mogłaby liczyć w tej opressyi, to pomoc Niemiec, ale wygląda ona bardzo problematyczną i zdaje się, że sama Austrya nie bardzo jej dowierza, doświadczywszy już niejednokrotnie na swej własnej skórze, co znaczą słodkie obietnice i zapewnienia przyjaźni przyjaciela z nad Sprewy. Gdyby ów przyjaciel był jeszcze pewny, że przy tym ogniu uda mu się upiec i własną pieczeń, może zaryzykowałby jeszcze, ale tak, tylko sentyment biorąc na uwagę, to i trudzić się nie warto, zwłaszcza teraz, gdy cała energia rządu pruskiego skierowaną jest ku wyśledzeniu Kuby Rozpruwacza, który zupełnie spokojnie grasuje sobie po Berlinie, śmiejąc się z tamtejszej policyi, coś podobnie, jak Kurek, co wsławił w całej Galicyi energię lwowskich Sherlocków, którzy już go mają, a jednak na ślad jego jeszcze nie trafili.

Natomiast z uznaniem podnieść należy, że lwowska policya dostanie w swe ręce Schwarzera. Wprawdzie złapała go policya hamburska, jest jednak nadzieja, że po dłuższym przeciągu czasu, odsiedziawszy najprzód karę w Hamburgu za popełnione tam włamanie, wydany zostanie zapalczywości lwowskiej policyi, a wtedy już mu chyba uciec nie pozwolą. Może stanąć temu na przeszkodzie jedynie koniec świata, który według obwieszczenia uczonego amerykańskiego, M. Pelikana, odłożony został do r. 1912.

Pocieszajmy się więc nadzieją, że rychło skończą się nasze kłopoty i zmartwienia, bo bezpośrednio po zniesieniu propinacyi nadejdzie i koniec świata, od dawna już obiecywany nam przez różnych proroków. Nie pomoże już potanienie cielęciny we Lwowie, ani wojna *Słowa Polskiego* z *Dziennikiem*, żadnego wpływu nie będą miały umoralniające sztuki, które jednak sieją niemoralność *(Profesya pani Warren)*, koniec świata musi przyjść, bo nasz stary świat już się przeżył i coraz to gorzej na nim się dzieje.

Jedynym ratunkiem byłoby uwzględnienie postulatów sufrażystek i dopuszczenie ich do udziału w rządach, o co się tak skwapliwie dobijają, iż nawet balonami wybrały się na zdobycie parlamentu angielskiego, uprzedzając w tem Wilusia. Niechno tylko naszym paniom pozwolą zabrać głos, a jestem pewny, że koniec świata opóźni się, co najmniej o jakie lat kilkanaście. Proszę sobie wyobrazić, jak wspaniale wyglądałaby pani Bujwidowa, zajeżdżająca z powagą w aeroplanie pod, raczej nad krakowski magistrat, aby dopominać się prawa głosowania dla uciśnionych krakowskich proletaryuszek. Będzie to tak wspaniały widok, jak obraz dra Diamanda, który klepiąc się po swym okrągłym brzuszku, wołał we Lwowie z patosem: My głodne robotniki!

Skoro zawadziłem już o dra Diamanda (a jest o co zawadzić), wspomnieć muszę o klapie generalnej, jaką poniosła partya w procesie Borowska *contra* Haecker. Nie pomogły wysiłki dra Heskiego i robienie przez oskarżonego dobrej miny, sędziowie przysięgli byli innego zdania, potwierdzając pytanie, co do obrazy pani Borowskiej przez Haeckera, a nie uznając, iż udało mu się przeprowadzić dowód prawdy. Za popełnienie tego czynu wymierzono mu karę jednomiesięcznego więzienia, jednakże, czując się pokrzywdzonym, zgłosił on zażalenie nieważności, być więc może, że będziemy mieli jeszcze raz sposobność podziwiania chemicznej pralni partyjnych brudów przed forum publicznem. Nie wchodzę w motywy, czy Borowska ponosi jakąś część winy, obciążał ją bowiem jedynie Bakaj, a jemu jakoś nie bardzo chce się wierzyć, zaznaczyć jednak muszę, że sprawa ta wpłynęła bardzo ujemnie na powagę partyi, która była przekonaną, że zapadnie jednogłośny werdykt uwalniający Haeckera. Stało się jednak inaczej.

W samym początku postu przeszkadza ciągle naszemu skupieniu ducha, któremu oddać się należy, obawa, że nad Dunajem i Driną lada dzień rozlegną się strzały, a szersza ojczyzna powoła nas bodaj do landszturmu, gdzie przecież także się można w jakiś sposób odznaczyć. Lwowska rada miejska mając z dawnego tramwaju końskiego sporo chabetów, których nawet Babaczek nie chciał zakupić na kiełbaski i nabywszy świeżo cały tren pana Kurkowskiego, zamyśla wysztyftować ochotniczy pułk jazdy narodowej, pod wodzą któregoś z radców miejskich, a w pracowniach blacharskich kują już pancerze dla tysiąca walecznych, którzy pojadą zdobywać stolec Karageorgiewiczów. Nie przeszkadza to wcale naszemu młodemu pokoleniu, że na gwałt oddaje się sportowi saneczkowemu, aby choć na tem polu pracować dla dobra Ojczyzny, skoro inaczej nie umie, a najbardziej cieszą się z tego lekarze, głównie chirurdzy, którzy codziennie dostają jakiegoś pacyenta do połatania. I w Krakowie rozsaneczkowanie jest ogólne, z obowiązku więc należy o niem wspomnieć, choć na końcu kroniki.

Król Ferdynand doczekał się wreszcie uznania przez dwory europejskie, chadza więc w pełni chwały i majestatu, i z lekceważeniem patrzy na swego kolegę z Belgradu, który ród swój wywodzi wprawdzie tylko od handlarzy nierogacizny, a przecież takie wysokie posiada aspiracye. *X.*

Smutny wypadek.

Częstokroć nieznaczna na oko przyczyna ma bardzo smutne następstwa, jak to mieliśmy sposobność przekonać się na ś. p. Gniewoszu, który skutkiem zacięcia się w nogę przy wycinaniu nagniotków, zmarł w ubiegłym tygodniu w Wiedniu. Taki sam los spotkał we Lwowie młodego, rokującego najświetniejsze nadzieja młodzieńca, ś. p. Władysława Kucharskiego, praktykanta konceptowego Wydziału Krajowego. Ś. p. Kucharski, pomimo natychmiastowej pomocy lekarskiej zmarł na zakażenie krwi, zaciąwszy się w wargę podczas golenia, zapewne nieczystą brzytwą. Przedwczesny zgon utalentowanego i powszechnie cenionego młodzieńca okrył głęboką żałobą ojca jego, p. Karola Kucharskiego, radcę Wydziału krajowego i wiceprezesa Towarzystwa dziennikarzy polskich, a świadectwem sympatyi, jaką cieszył się ś. p. zmarły, był tłumny udział wszystkich sfer Lwowa w oddaniu mu ostatniej posługi. Widzieliśmy w żałobnym orszaku strapioną rodzinę i kolegów zmarłego, a głównie przedstawicieli polskiej prasy, którzy choć w ten sposób starali się okazać współczucie swemu wiceprezesowi, dotkniętemu bolesnym ciosem.



Smutny wypadek: Ś. p. Władysław Kucharski ze Lwowa, zmarły na zakażeni krwi.

Łącząc się z ogólnem współczuciem z powodu tego nieszczęśliwego wypadku, podajemy w bieżącym numerze portret przedwcześnie zmarłego młodzieńca.

Jubileusz Stowarzyszenia rękodzielników w Przemyślu.

W sobotę 20 lutego b. r. obchodziło Stowarzyszenie rękodzielników „Ręka pracy“ w Przemyślu uroczystość jubileuszową z okazyi swojego 40 letniego istnienia. Stowarzyszenie to, które jest jedną z najstarszych w tem mieście organizacyi mieszczańskich, przedstawia piękny obraz rozkwitu.

Szczególną zasługę około rozwoju tego Stowarzyszenia, należy przypisać długoletniemu prezesowi drowi Hercikowi. Na czas jego prezesury przypada najpłodniejszy okres historyi „Ręki pracy“. (Jad Charuzim.) Wzrost liczby członków równolegle idzie z pomnożeniem jego dorobku materyalnego. Dość powiedzieć, że wydział przystąpi już w tym roku do założenia fundamentów pod własny gmach, który stanie na gruncie, darowanym przez radę miasta Przemyśla.

Poniżej podajemy fotografię obecnego wydziału z prezesem pośrodku.

Zagadkowe morderstwo.

W ubiegłym tygodniu, po godzinie ósmej wieczór, szedł szybko ulicą Zimną w kierunku Elektoralnej w Warszawie jakiś młody mężczyzna. Za nim do ulicy Ptasiej szło dwu nieznanych ludzi, którzy widząc, że młodzieniec ów dochodzi już do Elektoralnej, przyspieszyli kroku i zrównawszy się z nim, dali doń szereg strzałów, raniąc go w głowę. Powstało zbiegowisko koło krwią broczącej ofiary, a



Zagadkowe morderstwo: Zastrzelony w Warszawie ś. p. Kazimierz Łypaczewski (×) w gronie swych przyjaciół.

napastnicy, korzystając z zamieszania, cofnęli się, nie zaczepiani przez nikogo, w ulicę Zimną i spie-



Jubileusz Stowarzyszenia rękodzielników w Przemyślu: Wydział Stowarzyszenia z prezesem, doktorem Hercikiem, pośrodku.



Tajemniczy zapaśnik: Stanisław Zbyszko Cyganiewicz.

sznie skierowali się ku halom targowym. Zamiast odwieść rannego do pobliskiego szpitala św. Ducha, zawezwano pogotowie, a przybyły lekarz odwiózł rannego do szpitala. Niestety, było już za późno, wkrótce po przybyciu zmarł pokaleczony w ogromnych bólach, nie odzyskując przytomności.

Jak się okazało, zabitym w tajemniczy sposób był Kazimierz Łypaczewski, syn ś. p. Józefa, b. nauczyciela rysunków i kaligrafii w szkołach rządowych warszawskich. Urodził się w r. 1890 i początkowo kształcił się w II. progimnazyum rządowem. Do szkoły zaś generała Chrzanowskiego wstąpił w r. 1905 do kl. V. i doszedł do kl. VII., jednak od 16-go marca 1908 do szkoły tej przestał uczęszczać, skutkiem czego na mocy postanowienia rady pedagogicznej do VIII. klasy nie był promowany. Papierów swych Łypaczewski ze szkoły Chrzanowskiego nie odebrał, a do szkoły przestał chodzić samowolnie. Co porabiał przez ostatni rok, nie wiadomo. Od czasu śmierci ojca zostawał pod opieką matki.

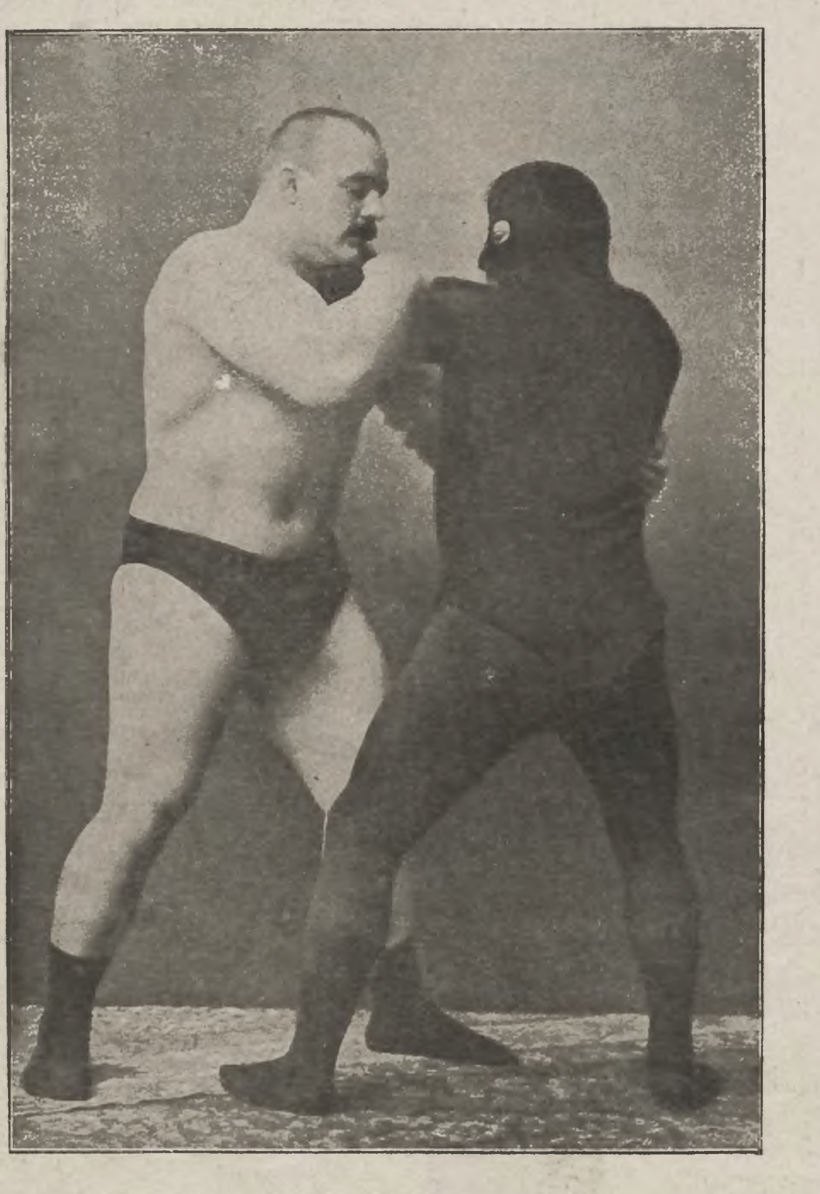
W mieszkaniu zabitego przy ulicy Złotej nr. 35 policya i żandarmerya dokonały ścisłej rewizyi, z jakim jednak wynikiem, to okrywa tajemnica urzędowa. Nie zbadano również dotąd, co było powodem zabójstwa, jak również kim są mordercy, wogóle cała sprawa przedstawia się nader tajemniczo i jest przedmiotem energicznego śledztwa ze strony władzy.

Tajemniczy zapaśnik.

Zdawało się długi czas, że Zbyszko-Cyganiewicz nietylko nie znajdzie przeciwnika, któryby go pokonał, ale nawet takiego, który zdołałby opierać się mu czas dłuższy. Tymczasem przypuszczenie to było częściowo błędnem. Jak bowiem donoszą z Wiednia, znalazł się tam siłacz, któremu udało się nietylko stawić czoło niezwyciężonemu dotąd szampionowi, ale nawet trzy razy położyć go na ziemię. Do zupełnego zwycięstwa tajemniczemu zapaśnikowi — występuje w masce na twarzy, cały ubrany w czarny trykot — brakowało tylko, aby Zbyszka przytrzymał był przez trzy sekundy na obu łopatkach na ziemi. W każdym razie „czarna maska“, jak nazywają w Wiedniu ukrywającego swe nazwisko atletę, wykazała bajeczną siłę, skoro udało się jej trzy razy rzucić o ziemię takim ciężarem, jaki przedstawia Cyganiewicz. Innych przeciwników, np. sławnego siłacza Steinbacha, pokonała „czarna maska“ bez trudu.

Wiedeńczycy zaintrygowani są w najwyższym stopniu osobistością, która się pod „czarną maską“ ukrywa. Jedni przypuszczają, że jestto amerykański szampion Frank Gotsch, inni, że Hackenschmidt, który dotąd nie bił się jeszcze ze Zbyszkiem, inni wreszcie, że Estończyk Aberg, a są i tacy, co zapewniają, że „czarna maska“ — to jakiś hrabia austryacki, pragnący zachować inkognito.

Jedna z rycin naszych przedstawia właśnie moment z interesującej walki między Zbyszkiem, a jego tajemniczym przeciwnikiem.



Tajemniczy zapaśnik: Walka Cyganiewicza z nieznanym zapaśnikiem w masce.



Tajemniczy zapaśnik: Nieznany zapaśnik w masce.

Dla chleba.

Potrzeba jest matką wynalazków — mówi stare przysłowie, a życie uczy nas, że oparte jest ono na prawdzie. Na każdym bowiem kroku spotykamy się z takimi pomysłami, jakie nie przyszłyby ludziom do głowy, gdyby nie konieczność zdobycia sobie środków do życia.

Na załączonem np. zdjęciu fotograficznem widzimy muzyka, który, zbudowawszy sobie odpowiedni wózek, umieścił na nim pianino i koncertuje po ulicach Londynu. Jak donoszą tamtejsze dzienniki ma to być wcale zdolny pianista, który jednak z powodu olbrzymiej konkurencyi, jaka na punkcie produkcyj muzykalnych panuje w stolicy Anglii, byłby skazany na śmierć głodową, gdyby nie dobrowolne datki przechodniów, chętnie słuchających dobrego wykonania ulubionych kawałków muzycznych.

W każdym razie to wędrowne pianino stanowi wielki postęp w porównaniu do katarynek, które są prawdziwą plagą po większych i mniejszych miastach europejskich.



Sensacyjny proces a korupcya sądowa w Suczawie: Cygan Teodor Sofroni.

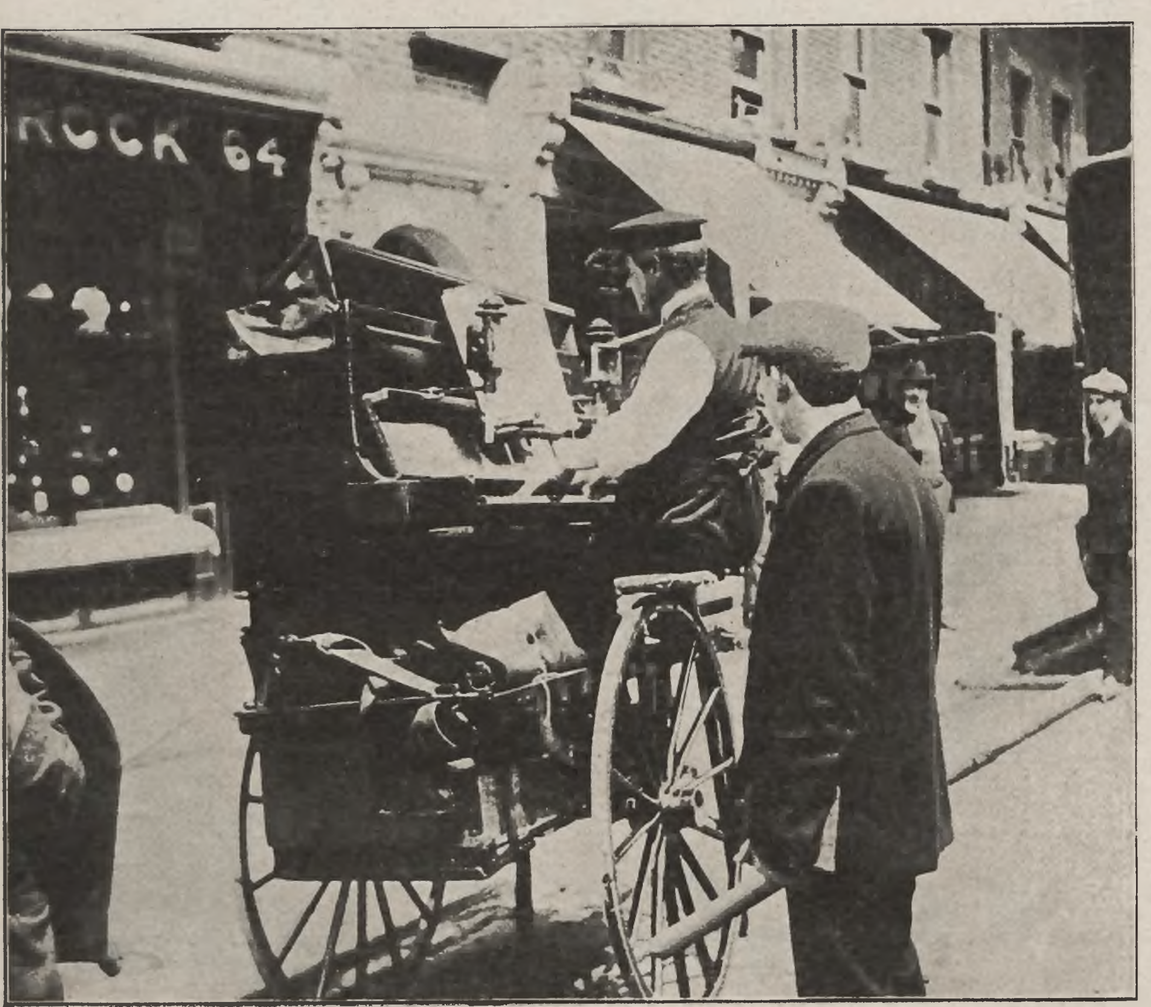
Jakób Fedyczkowski.

Gościna opery lwowskiej na scenie krakowskiej, poza zaprezentowaniem kilku młodych i obiecujących talentów, o których na kartach *Nowości Illustrowanych* już mówiliśmy, przypomniała nam i starych weteranów sztuki ojczystej, a specyalnie tych, którzy, zadawalając się skromniejszemi dziś stanowiskami w sztuce, pracują dla niej z całym zapałem a niejednokrotnie z pełnem poświęcenia zaparciem, godnem uznania i zaznaczenia. Jednym z tych cichych (o ile to da się powiedzieć o śpiewaku rozporządzającym donośnym, a dźwięcznym głosem), a wytrwałych bojowników z pod sztandaru sztuki polskiej, jest Jakób Marceli Fedyczkowski, obecnie członek chóru opery lwowskiej, niegdyś ceniony i lubiany basista scen południowo-słowiańskich.

Fedyczkowski, uczeń znakomitego maestra polskiego ś. p. Walerego Wysockiego i Franciszka Gerbicza, któremu tyle najwybitniejszych dziś śpiewaków naszych zawdzięcza swą karyerę, rozpoczął zawód na scenie skarbkowskiej, za czasów dyrekcyi Miłaszewskiego. Młody, zapału pełen i rwący się do pracy artysta, przyjęty życzliwie przez publiczność, krótko bawi na scenie lwowskiej. Żądny oklasków zdobytych nietylko na niwie sztuki ojczystej, pragnie także posiąść nagrodę talentu, trudniejszą do zdobycia... laury padające z rąk obcych. Wyjeżdża szukać karyery na scenach słowiańskich. Śpiewa tedy kolejno w Bernie, Pilznie, Pradze, w Splicie (Dalmacya), a w końcu w Lublanie, gdzie pozostaje najdłużej, zatrzymany doskonałymi warunkami materyalnymi. Przez lat przeszło dziesiątek, dźwiga Fedyczkowski na barkach swych partye basowe repertuaru włoskiego i słowiańskiego, darzony stale uznaniem prasy i słuchaczy. Na obczyźnie nie zapomina jednak o obowiązkach dobrego syna ojczyzny. Zarówno z estrady koncertowej, na której serdecznie witany, pojawia się często, jak i w życiu towarzyskiem, krzewi pieśń polską, torując drogę operom polskim na sceny słowiańskie. Jego to interwencyi zawdzięcza dzieło Moniuszki „Halka“ wprowadzenie i żywot swój na sceny południowo-słowiańskie. Było to zadanie nielada, bo tem trudniejsze, że łączące się z kolejami ówczesnej polityki i niepopierane w kraju przez tych, których to było obowiązkiem. Było to przed laty dziesięciu, w epoce walk politycznych, w których padł gabinet Badeniego, a wystawienie „Halki“ — kilkakrotnie wycofywanej z sali prób — było aktem manifestacyjnym sympatyi słowiańskiej dla nas. W ciągu trzech dni zdołał Fedyczkowski wypróbować operę, a nawet i uporać się z wygotowaniem i przeróbką kostyumów, których użyczyło scenie lublańskiej pragskie *Narodne Divadlo*, spieszące zawsze z pełną życzliwej gotowości pomocą tam, gdzie chodzi o sprawy ogólno słowiańskie, a szczególniej tyczące się zacieśnienia braterstwa polsko-czeskiego.

Entuzyazm, z jakiem przyjęli „Halkę“ Słoweńcy, był naprawdę najwspanialszą nagrodą dla artysty-patryoty, a dzień ten jednym z najpiękniejszych w jego życiu i działalności artystycznej. Serdeczny węzeł sympatyi, zadzierżgnięty ze scenami słowiańskiemi, objawił się zaufaniem, jakiem Fedyczkowskiego darzyły i darzą do dziś, dyrekcye tych teatrów, mimo, iż od lat ośmiu, gnany tęsknotą za rodzinnem miastem, wrócił, aby pracować na scenie lwowskiej. Temu stosunkowi przyjaźni, tudzież zaufaniu zawdzięcza kilkanaście polskich sił śpiewaczych swój rozwój oraz byt na tych scenach, na które, staranny i troskliwy o rozrost talentów śpiewaczych, życzliwie je poleca i popiera.

Nietylko wielkie talenty i wielkie imiona zasługują na sławienie i przedstawianie ich uwadze społeczeństwa; zasługuje na uznanie także i cicha praca w skromnym zakresie. *stab.*



Dla chleba: Pianista grający na ulicach Londynu.



Jakób Fedyczkowski.

Sensacyjny proces, a korupcya sądowa w Suczawie.

W dniu 30 kwietnia 1907 r. zamordowano w Bosanczu kupca Goldberga i jego żonę, nie wykryto jednak zbrodniarzy. Z początkiem 1908 r. wachmistrz żandarmeryi Stasz, przyaresztował włóczęgę-cygana Teodora Sofroniego, a po przesłuchaniu go,

nastąpiły masowe aresztowania nietylko chłopów bosanieckich z powodu tego morderstwa, ale także z powodu rabunków, rzekomo popełnionych w innych powiatach. Wachmistrz Stasz odbywał podróże po Bukowinie z cyganem, karmił go i dobrze poił, w celu, by cygan, jak najwięcej mu różnych zbrodni wykrył i jak najwięcej zbrodniarzy wskazał. To też cygan za wino, wódkę i dobre jedzenie wykrywał jedną zbrodnię po drugiej, wskazywał zbrodniarzy, oświadczając przytem, że wszędzie był obecnym, ale tylko jako stróż.

Śledztwo w sprawie morderstwa w Bosanczu prowadził radca dr. Jakubowicz, a po przeprowadzeniu śledztwa wyraził się, że uwięzieni chłopi są niewinni. Sprawiło to pewną konsternacyę między interesowanymi. Posypały się więc różne denuncyacye na sąd suczawski, do wyższego sądu we Lwowie i do bukowińskiego rządu krajowego, który wmieszał się także w tę sprawę, skutkiem czego odebrano śledztwo bosanieckie radcy Jakubowiczowi. Sąd zaś wyższy we Lwowie wysłał prezydenta sądu z Tarnopola, radcę dworu Czerwińskiego, do Suczawy, by zbadał stosunki w sądzie. Radca dworu Czerwiński zabrał się do rzeczy energicznie. Jednym urzędnikom sądowym kazał podać się na pensyę, innych zasuspendował w urzędowaniu.

Tymczasem śledztwa o morderstwo w Bosanczu dla braku dowodów zaniechano, a chłopów po półrocznem więzieniu wypuszczono na wolność.

Obecnie odbył się przeciw cyganowi Sofroniemu proces o oszczerstwo, w którym wyszło na jaw, że wachmistrz Stasz z synem zamordowanego, namówili go do fałszywych zeznań, obiecując mu ułatwienie ucieczki. Syn kupca znikł i ścigany jest listami gończymi. Śledztwo wykazało, że podczas tych wszystkich popełnianych zbrodni, wskazywanych przez cygana, tenże siedział w kryminale w Rumunii. Cygan dostał 9 lat więzienia, zaś wachmistrz Stasz oddany sądowi wojskowemu. Taki jest epilog rzekomej korupcyi i niedomagań sądu suczawskiego.

Koniec romansu.

(Do illustracyi na str. 9).

Przed dwoma laty sporo hałasu w wyższych sferach towarzyskich na Węgrzech narobiła sprawa romantycznego małżeństwa hrabianki Ilony Festetics, która zakochała się w pierwszym skrzypku kapeli cygańskiej, Rudi Nyari'm. Rodzina młodej hrabianki była oburzoną jej zamiarem poślubienia cygana. Ofiarowano mu znaczne sumy, byle tylko odstąpił od projektowanego małżeństwa. Cygan jednak wolał poczekać kilka miesięcy, aż hrabianka Ilona zostanie pełnoletnią, poczem ją poślubił i wziął za nią znaczny majątek, który mu zapisała w intercyzie ślubnej.

Ojciec, nie mogąc złamać uporu córki, wyrzekł się jej na zawsze. Ślub hrabianki z „primasem“ cygańskim odbył się w ubogiej chacie jego rodziców, a świat wkrótce zapomniał o pełnej temperamentu Węgierce, która dla swej miłości podeptała węzły rodzinne i konwenanse towarzyskie.

Teraz znów przypomniano sobie o niej, gdy z Budapesztu nadeszła wiadomość o jej śmierci, która ją zabrała z tego świata kilka dni temu po przyjściu na świat córeczki.

Nowy środek agitacyjny.

(Do illustracyi na stronie 13.)

Angielskie sufrażystki nie ustają w pracy o wywalczenie dla siebie prawa głosowania przy wyborach do parlamentu. Na czele ruchu stoją panie: Parkhurst, którą niedawno dopiero wypuszczono z więzienia po odbyciu kary za różne ekscesy i p. Muriel Matters. Pod wodzą owych dzielnych niewiast wtargnął cały zastęp sufrażystek do pałacu lorda admiralicyi, Mac Kenna, właśnie podczas bankietu, jaki się tam odbywał. Z trudnością tylko udało się je sprowadzić do westybulu, gdzie oddano je w ręce policyi. Podczas publicznego przemówienia sekretarza stanu Birrela, tłum niewiast otoczył mowcę z okrzykami: Prawa głosu dla kobiet! Kilka energicznych pań przymocowało się łańcuszkami do kolumn i filarów sali, to też nim je policya mogła usunąć, miały dość czasu do narobienia piekielnej wrzawy. Inna znów gromada pospieszyła przed pałac prezydenta ministrów Asquitha i tu urządziła burzliwą demonstracyę. Kilkanaście sufrażystek aresztowano i skazano na kary od 2 do 5 funtów szterlingów, lub na karę aresztu od dwu tygodni do jednego miesiąca. Większość wybiera grzywny, które pokrywa się z funduszu partyjnego.

Do kulminacyjnego punktu doszła jednak agitacya w dniu otwarcia parlamentu w Londynie. Niestrudzone pracowniczki na niwie równouprawnienia kobiet postanowiły użyć najnowszego środka, postarały się też o ogromny balon do kierowania, który w chwili, gdy posłowie zdążali w mury parlamentu, majestatycznie wzniósł się w przestworza. Na powłoce balonu widniał ogromny napis: „Prawa głosu dla kobiet!“, w łodzi siedziała jedna z przywódczyń Ligi, p. Muriel Matters, uzbrojona w ogromną tubę. Gdy się balon wzniósł, posypały się z niego pisma ulotne w sprawie równouprawnienia kobiet, jednakże wiatr okazał się niegrzecznym, zapędził statek powietrzny ku odległym dzielnicom Londynu i popsuł cały efekt, co naturalnie sufrażystki przypisują intrydze rodzaju męskiego.

Illustracye nasze przedstawiają łódź balonu przed wzniesieniem się, oraz cały statek, szybujący ponad Londynem.

Głosy publiczne.‘

Papier Słowackiego. Komitet obchodu setnej rocznicy urodzin J. Słowackiego we Lwowie, zwraca się do P. T. Publiczności z uprzejmą prośbą, by przy zakupnie papierów listowych żądała w sklepach papierów Słowackiego, wyrobu jedynej w kraju fabryki

S. W. Niemojowskiego we Lwowie

Część dochodu z rozsprzedaży tego papieru przeznaczona jest na fundusz budowy pomnika poety, a ponieważ ceny w niczem się nie różnią od cen innych papierów, przeto P. T. Publiczność zakupując papier Słowackiego, *bez żadnego dla siebie* uszczerbku, przyczyni się do wystawienia pomnika poecie.

Papier Słowackiego jest do nabycia we wszystkich sklepach we Lwowie w Krakowie i w miastach prowincyonalnych, a gdzieby go nie było, zwrócić się należy wprost do fabrykanta S. W. Niemojowskiego we Lwowie.

Odpowiedzi Redakcyi

WP. B. Prohaska Cerkowna: Nie nadaje się.

WP. L. Bekerman Radom: Żądanem objaśnieniem służyć nie możemy, gdyż odnośne ogłoszenie nie jest wycięte z naszego pisma.

WP. E. Geschwindt Janów: Warunki udziału w losowaniu ogłosiliśmy równobrzmiące w kilku numerach i ściśle ich przestrzegamy. Tej samej zupełnie taktyki trzymaliśmy się i w poprzednich latach.

WP. S. Kumor Wistowa: Trzeba czytać uważniej! Pańskie rozwiązanie oznaczone jest Nr. 1694.

Ciekawa z R.: Z powodu braku czasu błędów popełnionych w rozwiązaniu wielkiej Szarady wykazywać nie możemy. Nie prowadziliśmy spisu niedokładnych, szły zaraz do kosza.

WP. T. Łuczycki Wola raczyborowska: List otrzymaliśmy w ostatniej chwili, nie mogliśmy więc sprawdzić, czy WPan na liście umieszczony, czy nie. Jeśli nie, to najlepszy dowód, że list nas nie doszedł, lub też rózwiązanie nie odpowiadało wymaganym warunkom.

WP. A. Hr. Wodziński Służewo: Wspomniane rozwiązanie, uskutecznione przez Lucynę Janoszankę (pod adresem Ant. hr. Wodzińskiego w Służewió) otrzymaliśmy i tak też zaciągnęliśmy je w spisie pod Nr. 1279, jak się o tem łatwo można przekonać. Jeśli owa Pani nazywa się Junoszanka, to pomyłka nie jest naszą winą, gdyż kupon do rozwiązania najwyraźntej podaje imię i nazwisko Janoszanka.

Rozwiązanie zagadek z Nr. 7.

Szarada: Pantarka.
Szarada: Ameryka.
Krzyż magiczny: Chlorat, Dootyna, Carycyn.
Łamigłówka: Krzyżacy.
Kwadrat magiczny: Wisła.

Dobre rozwiązania nadesłali Pp.: K. Schwarzówna Łaskowce, M. Turecka Czahary, O. Górkowa Chyrów, Z. Sochalski Tarnopol, A. Biliński Tarnów, J. Imhof Kraków, W. Lubiński Lwów, A. Łubowicz Warszawa, S. Majewicz Łódź, A. Nikosiewiczowa Krzywe, W. Lisowski Kalwarya, K. Motowska Babice, M. Serbeńska Budzanów, S. Cześnikiewicz Kraków, E. Gottwald Strusów, N. N. Gawłówek, J. Januszkiewiczowa Kraków, A. Jezierski Kraków, M. Małaczyński Pikułowice, H. Chodkiewicz Warszawa, Szkoła tkacka Wilamowice, A. Rotter Stanisławów, J. Gromnicki Łaskowce, K. Fuchs Czeremchów, L. Witekowa Mościska, A. Jaworska Ropczyce, M. Klappholz Kraków, Czytelnia T. S. L. Milie, M. Kościński Żarki, J. Hupert Lwów, J. Rożniatowski Jabłonów, Ks. R. Ciszek Szczyrzyc, K. Jurkiewicz Gwoździec, S. Staśko Kraków, M. Świszczowska Swoszowice, S. Danziger Osiny, J. Gworek Gołkowice, E. Bogdalska Koropuż, A. Nowakowski Warszawa, W. Kowarzyk Lwów, A. Kudła Tapin, W. Radwańska Lwów, B. Mieczkowski Kraków, M. Opolska Czarny Dunajec, E. T. Płużno, A. Grabowska Burwald, T. Przybylski Podgórze, J. Augustynowicz Żywiec, A. Herman Jarosław, W. Dagnan Piwniczna, A. Polończykowa Żywiec, Br. Kl. Lwów, A. Bierzecka Lisko, E Tyszarski Drohobycz, T. Stojanowski Przemyśl, W. Żralski Podgórze, D. Wisłowski Nowy Sącz, N. N. Lwów, F. Niepokój Krosno, B. Ertel Lwów, S. Holinkowski Lwów, E. Franz Tarnopol.

Nagrodę przez losowanie otrzymał **S. Majewicz** Łódź. Prosimy o nadesłanie 35 h. na koszta przesyłki.

Z półek księgarskich.

Przegląd krytyki artystycznej i literackiej, dwutygodnik. Warszawa. Wychodzi w pierwszą sobotę po 1. i 16. kazdego miesiąca pod kierukiem Józefa Rozprzy-Krobickiego.

W pierwszym numerze pisma, który opuścił prasę drukarską w dniu 23. stycznia b. r. powiada wydawca w przedmowie, iż rozpoczyna wydawnictwo zupełnie nowegr typu, które dopiero z biegiem lat wytworzyc ma nową formę pozytywnej krytyki twórczej. Nowe pismo ma być terenem szlachetnego ścierania się wszelkich głębszych, a szczerych przekonań i pojęć estetycznych Dla szerszego ogółu Czytelników wprowadzono działy, które ich niewątpliwie zainteresują, a wreszcie rysunki, które umieszcza się w miarę potrzeby, jako artystyczne uzupełnienie literackiej treści pisma. Treść dwu pierwszych zeszytów jak również i szata ich zewnętrzna przedstawiają się nader dodatnio.



Magazyn HENRYKA SCHWARZA

Telefon 43 Kraków, Grodzka 13. Telefon 43

adres telegraficzny HASCHWARZ KRAKÓW. - Czek poczt. kasy oszcz. Nr. 803

Nowości na karnawał

Wełny, jedwabie, suknie odpasowane, bluzki, halki, płaszcze wieczorne, rękawiczki, kapelusze.

Własne pracownie.

W interesie własnego zdrowia powinien każdy żądać wszędzie tylko

TUTEK CYGARETOWYCH

Z FABRYKI RUDOLFA HERLICZKI W KRAKOWIE

Ostrzega się przed licznemi naśladownictwami, które się w ostatnich czasach pojawiły!

Wzory i cenniki wysyła fabryka na żądanie darmo i opłatnie.

B. Wierzejski, Kraków, Rynek, róg ul. Floryańskiej

Magazyn nowości poleca tanio w nadzwyczajnym wyborze: **Koszule** kolorowe i białe, **Rękawiczki** z gwarancyą trwałości, **Kapelusze**, Przybory do podróży. Jako specyalność: **Krawatki i Perfumy.**

Nie sprzedaję nic pruskiego. Magazyn poddałem kontroli „Straży polskiej"

Cenniki darmo i opłatnie.

Reim i Spółka Kraków

Rynek 37 Linia A. B.

polecają po cenach najtańszych

Na Karnawał!

Perfumy, Mydła, Wody kolońskie i Kosmetyki



krajowe, warszawskie, francuskie i angielskie

Gąbki, Grzebienie i wszelkie inne artykuły toaletowe

NOWOŚĆ **Mydła** na wydelikatnienie cery **Savon Violettes de Nice „Nr. 810"** karton 3 szt. za Koron 2·00

Mydła kwiatowe o silnym zapachu karton 6 szt. Kor. 1·00

Mydła toaletowe o silnych zapachach za 1 kg. K. 2·00

Mydła Malinowskiego z Warszawy

Schampoo-Tarool do mycia głowy i przeciw i łupieżowi.

PERFUMY w ozdobnych kasetkach

Narty (Ski)

Laski do Nart

Sanki (Rodle) sportowe

Sanki dla dzieci — Obręcze śniegowe

Thermos aparat do przechowywania płynów bez zmiany temperatury

Kompletne aparaty „Gillette" do golenia

Kalosze rosyjskie na buciki fasonu amerykańskiego.

Cenniki darmo i opłatnie

Lalki

Zabawki, Konie na biegunach, Gry towarzyskie

poleca w wielkim wyborze

C. SZCZURKOWSKI

W KRAKOWIE, ULICA GRODZKA L. 2



Zdzisław Zdanowicz

Kraków

ul. Sławkowska L. 3. — Hotel Saski — Tel. 516.

Magazyn galanteryjny, Skład bielizny, kapeluszy, obuwia i przyborów do podróży.



Nadzwyczajne przygody reportera Józefa Rouletabille.

Zapach Damy w czerni

napisał Gaston Loroux.

2 (Ciąg dalszy).

Wtedy pospieszył do Paryża i tak potrafił rozczulić narzeczonego Matyldy Stangerson, iż ten przyjął go do swego laboratoryum. W czasie tym zdrowie Roberta Darzaca było bardzo słabe z powodu tych strasznych przejść, zwolna jednak poprawiało się, na co w znacznej mierze wpłynęła i nadzieja poślubienia Matyldy. Od chwili jednak przyjęcia Brignolles'a, stan jego zaczął pogarszać się. Przekonaliśmy się, iż Brignolles nie przynosi szczęścia, zdarzyły się bowiem przy nim dwa niebezpieczne wypadki: naprzód pękła nagle rurka Gesslera, odłamki której mogły niebezpieczne zranić Darzaca, zraniły jednak tylko Brignolles'a, pozostawiając mu na rękach ślady. Drugi wypadek daleko ważniejszy, zdarzył się z powodu wybuchu lampki spirytusowej, nad którą właśnie stał pochylony Darzac. Płomienie omal nie spaliły mu twarzy, uniknął jednak szczęśliwie tego, natomiast opalił sobie brwi i rzęsy, wskutek czego nie mógł znosić światła słonecznego.

Od czasu poprzednich zajść znajdowałem się ciągle w takim stanie, iż w najprostszych wypadkach widziałem jakieś podstępne machinacye. Byłem właśnie w Sorbonie podczas wybuchu lampki i sam odwiozłem Darzaca do lekarza, nie pozwalając Brignolles'owi towarzyszyć nam. Po drodze Darzac pytał się, dlaczego dość ostro obszedłem się z laborantem, odpowiedziałem mu na to prosto, iż nie lubię tego Brignolles'a i nie podoba mi się jego zachowanie. Nie wiedziałem, jak mam wytłomaczyć swą niechęć do niego. Darzac zaczął się śmiać z mych urojonych podejrzeń, przestał jednak wkrótce, gdy doktór oznajmił, iż groziła mu utrata wzroku.

Niepokój mój z powodu Brignolles'a był bez wątpienia śmieszny i żadne wypadki już się potem nie zdarzyły, mimo to pozostałem uprzedzony przeciw niemu i obwiniałem go o zły stan zdrowia swego przyjaciela. W początku zimy Darzac zaczął tak kaszleć, iż skłoniliśmy go do wzięcia urlopu i wyjechania na południe. Za poradą doktorów udał się do San-Remo. Pisał nam, że czuje się coraz lepiej, jakby mu kamień spadł z piersi; „oddycham, oddycham — donosił — wyjeżdżając zaś z Paryża, dusiłem się". List ten zastanowił bardzo mnie i Rouletabille'a: dziwiliśmy się, dlaczego Darzac czuł się tak źle przy Brignolles'ie... Podejrzenia moje były tak silne, iż nie pozwoliłbym laborantowi wydalać się z Paryża, on jednak nie miał zamiaru jechać. Przeciwnie, skorzystał z tego czasu, by wkręcić się do Stangersonów pod pretekstem dowiadywania się o zdrowie Darzaca. Udało mu się nawet widzieć raz pannę Stangerson, ale przedstawiłem go przed nią w takich barwach, iż unikała go już potem. Po czterech miesiącach wrócił Darzac w doskonałym stanie. Ja i Rouletabille postanowiliśmy śledzić Brignolles'a i z radością dowiedzieliśmy się, iż ślub ma już wkrótce nastąpić, po którym państwo młodzi udadzą się w dłuższą podróż.

Po powrocie z San-Remo Darzac zapytał mnie pewnego razu:

— I cóż, jakże jesteś z tym biednym Brignolles'em? Przekonałeś się do niego?

— Niestety, nie! — odpowiedziałem.

Żartował ze mnie i obsypał kilkoma dowcipami prowansalskiemi, które lubił przytaczać, gdy był w złym humorze. Czuł się szczęśliwym! O całej pełni szczęścia jego moglibyśmy się jednak przekonać dopiero w tym kościele, gdy ukazał się nam jakby odrodzony. Wyprostował z dumą swe lekko pochylone plecy; szczęście uczyniło go większym i piękniejszym.

— Istotnie, mój pryncypał odmłodniał jak na wesele! — roześmiał się Brignolles.

Usunąłem się od tego człowieka, który mnie wstrętem przejmował i podszedłem do pana Stangersona; przez całą ceremonią ślubu stał ze skrzyżowanemi na piersiach rękami, zamyślony, jakby nic nie widział ani nie słyszał. Musiano dotknąć się jego ramienia, gdy wszystko było skończone, aby wyrwać go z zadumy.

Gdy cały orszak przeszedł do zakrystyi, Andrzej Hesse westchnął głęboko.

— Wreszcie! Mogę odetchnąć!...

— Dlaczego przedtem nie mogłeś tego uczynić? — zapytał Henryk Robert.

Hesse wyznał wtedy, iż do ostatniej chwili obawiał się zjawienia umarłego...

— Cóż chcesz, mój drogi, nie mogę uwierzyć, by Fryderyk Larsan zgodził się umrzeć na dobre!...

— — — — — — — — — — — —

Wszyscy, mniej więcej dwanaście osób, znaleźli się w zakrystyi. Świadkowie podpisywali akt ślubny, inni składali życzenia nowożeńcom. Zakrystya była jeszcze ciemniejsza niż ten stary, zapadający się w ziemię kościół, sądziłem też, że tylko z powodu panującego tu zmroku nie mogę dojrzeć Rouletabille'a. Okazało się jednak, że go nie było. Co to mogło znaczyć? Matylda już dwa razy pytała się o niego i Darzac prosił mnie, bym go poszukał, wyszedłem, wróciłem jednak potem bez niego; nigdzie go nie znalazłem.

— To dziwne i zupełnie niewytłomaczone — odezwał się Darzac. — Wszędzie patrzyłeś? Może jest za jakim filarem?

— Wszędzie szukałem i nawet wołałem go — odpowiedziałem.

Darzac jednak chciał sam się przekonać i obszedł kościół. Był szczęśliwszy odemnie, gdyż dowiedział się od żebraczki z kruchty, że jakiś młody mężczyzna, którym mógł być tylko Rouletabille wyszedł i odjechał w dorożce. Gdy powiedział o tem swej żonie, wydała się tem bardzo zasmucona. Zwróciła się do mnie:

— Drogi panie Sainclair, pan wie, że o drugiej wyjeżdżamy, niech pan poszuka naszego młodego przyjaciela i przyprowadzi go do mnie; niech pan mu powie, że zachowanie jego bardzo mnie niepokoi...

— Proszę liczyć na mnie — odpowiedziałem...

Wziąłem się natychmiast do szukania Rouletabille'a. Na dworzec jednak przyjechałem zawiedziony. Ani w mieszkaniu, ani w redakcyi, ani w zwykłej jego kawiarni nie mogłem go złapać. Żaden z jego kolegów nie mógł mi wskazać, gdzie się znajduje. Na dworcu zostałem przyjęty nie wesoło. Darzac był zdenerwowany, ponieważ jednak zajęty był ekspedyowaniem bagaży, gdyż i profesor Stangerson jechał z nowozaślubionymi aż do Dijon, udając się do Mentony, prosił mnie, bym wiadomość tę zaniósł jego żonie. Spełniłem to smutne polecenie, dodając, że może jeszcze zjawi się.

— Nie, nie — odpowiedziała, płacząc — już skończone!... Nie przyjdzie...

Przy słowach tych weszła do wagonu.

Wtedy ten nieznośny Brignolles, widząc wzruszenie młodej mężatki, znowu odezwał się do Andrzeja Hesse, który zresztą kazał mu zamilknąć: Proszę popatrzeć! nie mówiłem, że ona ma oczy waryatki!... Ach Robert źle zrobił... powinien był zaczekać! Widzę jeszcze jak Brignolles to mówił i przypominam sobie uczucie wstrętu, jakim mnie wtedy przejął. Nie wątpiłem już, że on jest złym człowiekiem, a przedewszystkiem zazdrosnym. Miał żółtą cerę i długie rysy, wyciągnięte ku dołowi. Wszystko wydawało się w nim goryczą i długiem. Miał długi stan, długie ręce, długie nogi i długą głowę. W tej jego długości wyjątek stanowiły tylko stopy i dłonie, które miał drobne, prawie eleganckie. Obraził się na otrzymane zmonitowanie i po pożegnaniu o puścił dworzec, przynajmniej go już na nim nie widziałem.

Brakowało jeszcze trzy minuty do odjazdu. Spodziewaliśmy się przybycia Rouletablle'a, wyglądając go wszędzie, daremne jednak było nasze oczekiwanie. Smutni byliśmy wszyscy i tak zdziwieni jego nieobecnością, iż zapomnieliśmy prawie życzyć młodej parze wesołej podróży. W chwili gdy pociąg miał już ruszać, młoda małżonka jeszcze zaz wyjrzała z okna i pewna teraz, że już nie ujrzy swego młodego przyjaciela, podała mi kopertę z temi słowami:

— To dla niego!

I nagle, jakby jaka straszna myśl przeleciała jej przez głowę, odezwała się dziwnym tonem, który mi przypomniał złowieszcze uwagi Brignolles'a:

— Do widzenia... a może *żegnajcie*, przyjaciele!

II.

Powracając z dworca, dziwiłem się nagłemu smutkowi, jaki mnie ogarnął. Od czasu procesu wersalskiego, o zawiłościach którego byłem tak doskonale poinformowany, związany byłem przyjaźnią z profesorem Stangersonem, jego córką i Robertem Darzac. Winienem być zadowolony z tego szczęśliwego zakończenia całej sprawy, nieobecność jednak młodego reportera bardzo mnie niepokoiła. Stangersonowie i Darzac uważali Rouletabille'a za swego zbawcę. Zwłaszcza Matylda, gdy odzyskała w domu zdrowia swobodę myśli i jasność umysłu, gdy mogła zdać sobie sprawę z roli, jaką w jej dramacie odegrał Rouletabille i przeczytała stenograficzne sprawozdanie z rozpraw sądowych, które młodego reportera przedstawiły jako prawdziwego bohatera, nie mogła dosyć okazać mu swej życzliwości i przyjaźni, okrywając go staraniem prawie jak matka. Interesowała się wszystkiem, co tylko jego dotyczyło, pragnęła o nim wiedzieć najdrobniejsze szczegóły, o jego pochodzeniu, którego wcale nie znaliśmy. Pytań podobnych zawsze zręcznie unikał, ukazując jednocześnie nieszczęśliwej kobiecie swoją głęboką wdzięczność i wielkie oddanie się. Nieraz mawiał, iż gotów jest poświęcić wszystko dla niej, jeżeliby los wymagał tego. Zdarzały mu się jednak i przypadki złego humeru. Razu pewnego wybierał się razem ze mną na wieś do Stangersonów i zawczasu cieszył się z przyjemności przepędzenia z nimi dnia, gdy nagle przed odjazdem, bez żadnego prawie powodu, odmówił mi towarzyszenia. Musiałem jechać sam, pozostawiając go w małym pokoiku, który zajmował na rogu bulwaru Saint Michel i ulicy Monsieur le Prince. Panna Stangerson obrażona tem zachowaniem się jego, postanowiła pewnej niedzieli iść razem ze mną do niego.

Gdy Rouletabille ujrzał nas przed sobą stał się bladym... tak bladym, iż sądziliśmy, że zemdleje. Panna Stangerson podbiegła szybko do niego, lecz on zdążył przedtem jeszcze rzucić na papiery leżące na stole, przy którym stał, jakąś serwetą, tak iż je zakrył.

Matylda spostrzegła to i zatrzymała się zdziwiona.

— Przeszkadzamy panu? — zapytała tonem lekkiej wymówki.

— Nie, skończyłem już pracę. Pokażę to pani później. Jest to sztuka w pięciu aktach, moje arcydzieło, które nie wiem jak zakończyć.

I uśmiechnął się. Wkrótce zapanował nad sobą i powiedział nam masę wesołych dykteryjek, dziękując za odwiedziny. Zaprosił nas na obiad i poszliśmy we troje do studenckiej reustauracyi; zatelefonował i do Darzaca, który do nas przybył. Bawiliśmy się jak dzieci. Przed pożegnaniem panny Stangerson Rouletabille przeprosił ją, że okazuje nieraz swój zły humor, oskarżając się o bardzo zły charakter, w odpowiedzi jednak, oboje narzeczeni serdecznie go uścisnęli. Bardzo był tem wzruszony, tak iż przez cały czas, gdym go odprowadzał do domu, nie odezwał się do mnie ani słowem, dopiero gdyśmy się żegnali, ścisnął mnie mocno, jak nigdy, za rękę. Dziwny człowiek!... Ach, żebym ja wiedział!... Jakże teraz żałuję, żem go nieraz sądził zbyt surowo i niecierpliwie...

I tak smutny, owładnięty złemi przeczuciami, które naprożno, starałem się od siebie odpędzić, wracałem z dworca, przypominając sobie najrozmaitsze fantazye, dziwactwa a nieraz i bolesne kaprysy Rouletabille'a w ciągu tych dwóch lat, nic jednak nie pozwalało mi przewidzieć tego, co miało się wkrótce stać, a tem mniej wytłomaczyć tego, gdzie był Rouletabille? Poszedłem jeszcze raz do jego mieszkania, bym mógł zostawić mu chociaż list Matyldy.

(Ciąg dalszy nastąpi).